

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 20 listopad 1949 r.

Nr 46 (208)

TREŚĆ NUMERU: Zygmunt Kubiak — Drogi Sadoka etap pierwszy; A. J. G. — Festiwal Wyższych Szkół Artystycznych; Mieczysław Kurzyna — W kręgu poezji i sugestii; Wojciech Kętrzyński — Na politycznym wachlarzu; „Etap” wkładka miesięczna; Kazimierz Wołkowicz — film katolicki; Juliusz Nowak — Dłużewski — Ostatnia praca o Mickiewiczu; Leszcz — Z notatnika radiosluchacza; Jan Paweł Gawlik — Sprawy mieszkaniowe; K. W. Zawodziński — Jubileusz Puszkina; Tydzień Teatralny; Czytelnik uważa, że...

Mikołaj Rostworowski

ŚWIEŻY NURT *

W postawie wiernych wobec osoby księdza, zdają się skupiać jak w soczewce, niemal wszystkie najbardziej charakterystyczne cechy polskiej kultury katolickiej. Wystarczy uważnie prześledzić zasadnicze elementy tego swoiste go kultu sutanny, żeby z małym prawdopodobieństwem błędu móc rzeczowo opiniować o dodatnich i ujemnych składnikach naszego obyczaju religijnego. Piszę — „ujemnych”, bo jak w każdej sprawie ludzkiej, w typie religijności reprezentowanej przez nasz naród, prócz bezspornych pozytywnych znajdziemy również i negatywy. Tak więc obok niezwykle żywej i mocnej wiary oraz bezgranicznego przywiązania do Kościoła, nie wolno nam przeoczyć antyintelektualnych, wyłącznie uczuciowych postaw, które chociaż po części właśnie z tej wiary i przywiązania się wywodzą, bynajmniej nie są z katolicyzmem identyczne.

Jeżeli idzie o polskie tradycje klerykalne, trudno je naprzykład wiązać z religijnością Polaków, bez jednoczesnej ujemy dla głębi tej religijności. Należy bowiem pamiętać, że całkowity bezkrytycyzm, połączony z reguły ze zwaleniem ciężaru odpowiedzialności na barki księdza, najczęściej oznacza myślowe wygodnictwo, nie mające nic wspólnego z katolickim umiłowaniem prawdy i gotowością heroicznego jej świadczenia.

Byłoby jednak przesadnym uproszczeniem, spychać wszystko na karb takich czy innych specyficznie narodowych przywar. Nie zapominajmy, że na przetrznię naszych dziejów duchowieństwo dobrze zasłużyło się narodowi. Powszechne zatem zaufanie otaczające stan kapłański opiera się na wieloletnim doświadczeniu, jest historycznie sprawdzalne.

Przytoczonym argumentem najchętniej szermują zwolennicy tradycyjnej postawy religijnej i mają rację dopóty, dopóki nie chcą nim bronić pretensjonalnej tezy o wyłączeniu duchowieństwa z pod jakiegokolwiek obserwacji krytycznej.

W okresie dla polskiego katolicyzmu przelomowym, w jakim nam żyć wypadło, dwie są, bio-

jąc teoretycznie, postawy które można zająć: pierwsza, właśnie tradycyjna, nawiązuje do doświadczeń przeszłości, upatrując dostateczną gwarancję wiary we wzmaganiu autorytetu księdza za wszelką cenę i druga, naszym zdaniem jedynie możliwa i celowa, polegająca na odważnej rewizji wszystkiego co swoje związki z katolicyzmem legitymuje mało przekonująco: „tak było do tej pory”. Wydaje się nam, że w momencie gdy sprawy religii nie bronią żadne wyjątkowe przywileje, gdy jedyną jej siłą jest posiadana Prawda, nie wolno tej Prawdy uszczuplać przez, mechaniczne w nowych okolicznościach, doczepianie do niej rekwizytów minionego czasu. Przywiązanie i szacunek jakim otaczamy duchowieństwo, nie może się więc manifestować ani w bezkrytycznym przyjmowaniu wszystkiego co odeń w sprawach nie zastrzeżonych autorytetem dogmatu pochodzi, ani w zrzucaniu ze siebie wszelkiej odpowiedzialności za uciążliwą pracę naszych duszpasterzy.

Problem jest delikatny, proponowane bowiem stanowisko nie mieści się w ramach dotychczasowych przyzwyczajzeń, zrywając dosyć gwałtownie z traktowaniem osoby księdza jako „tabu”, które mu odmawia się prawa do błędu. Łatwo się tu narazić na demagogiczny zarzut podcinania gałęzi, na której się siedzi, lub co gorsza, zapoznawania hierarchicznej istoty Kościoła, który nie jest i nie może być trybuną parlamentarną. Insynuatorzy dysponują w dodatku efektywnym „argumentem”, że do tej pory monopol na krytyczną ocenę działalności duchowieństwa dzierżyli ludzie nie mający z katolicyzmem nic wspólnego.

Otóż właśnie: „do tej pory”...

W mojej podróży na Ziemię Zachodnie, miałem wielokrotną okazję bezpośredniego zetknięcia się z problemem tzw. „księży postępowych”. Wróciłem tylko umocniony w pierwotnym przekonaniu, że trudno o bardziej niefortunny wybór terminu — dla określenia zjawiska, które niewątpliwie ma miejsce i zatacza coraz szersze kręgi.

Katolicyzm jest jeden: apostołski i rzymski. W sprawach religijnych określenia typu: „radyczny”, „postępowy” — po prostu nie mają sensu. Nie spotkałem ani jednego

księdza, który by myślał inaczej. Natomiast spotkałem bardzo wielu, o współczesnych, radykalnych poglądach społecznych. Zresztą odwiedzałem przede wszystkim tych, którzy w oczach opinii takich uchodzą.

Kontakt bezpośredni bardzo często potwierdzał zdanie opinii, ale niemal równie często mu zaprzeczał. Nie chcę być gołosłownym.

POZORY MYŁA

— Bój się Boga, twoje reportaże w „Słowie” to najklasycyjszy fundament pod przyszły kościół narodowy — zwymyślał mnie znajomy entuzjasta audycji BBC. Wtedy opowiedziałem mu o ks. Onufrym, który spośród wszystkich napotkanych księży może nadawałby się (choć i tego nie jestem pewien) do uczestniczenia w tego typu imprezie, nie projektowanej, na nieszczęście dla BBC, ani przez rząd, ani przez naród.

Ks. Onufry musi mieć wyjątkowo korzystne pozory o czym świadczy jego ustalona pozycja w opinii Kurii, jak i zaufanie którym go obdarzają miejscowe władze administracyjne.

Na wieść o naszym przybyciu ks. Onufry powiedział dzieciom tłumnie czekającym na spowiedź, żeby chwilkę poczekały i błyskawicznie zorganizował małe przyjęcie. — Ja się wami entuzja zmuje! — wołał nalewając kieliszki i przynaglając gosposię do pośpiechu. „Słowo Powszechne” czytuję od pierwszego numeru, jest czynnym działaczem miejscowej spółdzielni. — Bo u nas handel uspołeczniony, ho, ho! — informował z odcieniem przechwałki w głosie.

Z punktu zdobył sobie popularność u parafian. W każdej wsi gdzie jest kościół ma u znajomych rolników zapewniony nocleg i wyżywienie: — Ot, choćby teraz, to nie ja, to moi ludzie was przyjmują. Franiowa! Czy Stach już przyniósł literkę? — Kiedy wybiegł do kuchni sprawdzić sto pień usmażenia jajecznicy, rozmawiałem z Franiową. Pochodzi ze wsi położonej o 20 km od Stanisławowa. Pierwszy raz ujrzała Stanisławów w 47 roku życia, przejeżdżając z Z.S.R.R. do Polski — A teraz? Jak się pani Wrocław podobał? — A bo to czas jest na to. Co tydzień przez parę dni trzeba jadło szykować

dla jegomości, a mąż, a gospodarstwo. — Nie da pan wiary jak tu Onufrego wszyscy kochają, — szeptał mi w ucho brat proboszcza. — Nie ma tygodnia żeby mu nie donieśli to kaczkę, to indyka, to półwiniaka... Koło kościoła też sprawnie chodzi. Zapowiada na przykład, że odbędzie się poświęcenie ornatu. Od znajomego księdza pożyczka nowy ornat i woła: widzicie jaki dzięki waszej ofiarności mamy ornat!

— Ludziska zachwyceni proboszczem i ornatem nie żałują na stepnych datków.

... ależ oczywiście, z tych się już ornat kupuje — wyjaśniał obojętnie brat księdza proboszcza, dostrzegając moją konsternację.

Czas upływał wartko, dzieci czekały na spowiedź. W pewnej chwili ks. Onufry przypomniał sobie o naszym szoferze Janku, który znużony długą jazdą, drzemał przy kierownicy. — Chyba pan redaktor nie ma nic przeciw temu, siadajcie proszę między nami... jak demokracja, to demokracja — zachęcał kordialnie. Potem mówił długo i z zachwytem o audycjach Madrytu. Po dwóch godzinach wychodziliśmy od Franiowej. Ks. Onufry opowiadał o kościołach, które wyremontował, o przykładowych stosunkach ze starostwem.

A dzieci czekały.

„TEORIA — TEORIA, A FAKTY — FAKTAMI”

Księdza Stanisława znamy wszyscy bardzo dobrze z licznych wypowiedzi prasowych. W oczach konserwatywnej opinii polskiej uchodzi za komunistę.

Czterdziestolatek, niewysoki, lekko przygarbiony, jaka się i trzepoce, gdy zdejmie szkła, nerwowymi powiekami krótkowidza.

Jest rodem z Zawiercia. Po nowicjacie jezuickim szybko się zeświecił i do wojny był wikarym na wsi. Teraz proboszczuje robotniczej parafii. — Jako syn małego rolnego wieśniaka, na własnej skórze odczuł niesprawiedliwość ustroju. W swojej pracy duszpasterskiej zasłynął z oficjalnie manifestowanych przekonań radykalnych.

Przyjmuje mnie w nagiej izbie, w której prócz krzyża, tapczana, stołu, krzesła i drewnianej umywalki nie ma dostojnie nic.

Przed wizytą rozmawiałem z parafianami. Mówią o nim z u-

wielbieniem, jak o świętym. — Komunista? Wzorowy duszpasterz? — Kimże jest ks. Stanisław? — myślę gdy tak siedzimy we dwóch przy dygocącym płomieniu zakapanej świeczki. — A tymczasem ksiądz Stanisław nie da się wcisnąć w żaden schemat. Gdy napomknąłem o przywiązaniu parafian, zamachał rękami jakby się bronił przed zbyt ciężkim jarzmem. — To straszne kiedy ludzie za bardzo lubią. — szepce — a potem nagle zaczyna mówić o wierszach. Żebyż o poezji w ogóle. Ale rodzaj, który upodobał — zaskakuje: o księżycowo sentymentalnych strofach, nie mających wiele wspólnego z religiami tego świata. Potem o kościołach, które wybudował. I znów mu oczy błyszczą jak wtedy przy pensjonarskiej lekturze. Wąty, pasowierający — nie wygląda na swoje lata. Uczęszcza na uniwersytet gdzie studiuje filologię klasyczną. Drży przed profesorem, ostatnio odpowiadał z filozofii dialektycznej. — Czy z przekonaniem? — przekonasz się. — Nawet nie zastanawiałem, chodziło o podpis w indeksie. — Jeszcze jedno wyznaczenie typu: „teoria teoria, a fakty faktami” i wydaje mi się, że jestem na tropie „problemu księdza Stanisława”.

Urzeczony religią miłości ufał, że jako kapłan będzie mógł współuczestniczyć w wyrównywaniu społecznej krzywdy. Nadwrażliwy niczym Szpicnagel z „Godziny myśli” — niewspółmierność za stanego z oczekiwanym, odczuł jak katastrofę. Łatwo zapalny, nie konsekwentny, rychło doszedł do wniosku, że chrześcijański postulat miłości jest piękna, niewykonalna idea. Zniechęcony skłonny jest przejmować się głęboko efektywną działalnością marksistów. Imponuje mu konkret, ale ponieważ stosunek katolicyzmu do światopoglądu materialistycznego jest wiadomy, więc ks. Stanisław socjalizuje w praktyce z ukrytym na dnie duszy lękiem, że gdzieś tam nie jest w zgodzie z przepisami wyznawanej szczyrze, ale ślepo wiary. Stąd ta ucieczka do filologii klasycznej, do wierszy, do prawa kanonicznego, które chciałby studiować na KUL-u. To są dziedziny, w których wszystko się zgadza jak w zegarku, a ich zawieszenie w abstrakcji stanowi dostateczną re-

(dokończenie na str. 2-giej)

* Fragment z broszury pt. „Czas dojrzewania”, która ma się ukazać w wydawnictwie Inst. Wyd. „Pax”.

Dm 159/05

kojmię, że się nie pokruszą w zeknięciu z rzeczywistością.

Ze złości i żalu po prostu chce mi się krzyknąć: na ks. Stanisława, że nie może być świętym, bo zgrzeszył brakiem zaufania do posiadanej Prawdy, na wszystkich odpowiedzialnych w obozie katolickim za ten paradoksalny stan rzeczy, w którym kapłan praktykuje miłość społeczną z przekonaniem, że czyni to nielegalnie.

Nachylony nad poręczą schodów, którymi zbiegamy stoi drobny i nieporadny, przypominający o przyrzeczonych wierszach.

POSTĘPOWOŚĆ PRAKTYCZNA

Ta postawa jest nierozdzielnie związana z postawą dobrego duszpasterza. Wygląda tak, że ksiądz pozbawiony nawet wykształcenia ekonomicznego czy socjologicznego jest wzorowym społecznikiem i wykazuje z reguły rozsądną orientację polityczną.

Oto ks. Anastazy spod Czortkowa.

Faktu różnicowań klasowych po prostu nie dostrzega. — Wyższy? Antagonizmy? — Nic o nich nie wie. We wszystkich warstwach są dobrzy i źli ludzie. Hr. Korywiowski był zły, bo proboszcz w jego brata „inteligenta” koniem w parku najężdżał. Hr. Siemiński był dobry bo chadzał na pogrzeby i wesela chłopskie. Nie usystematyzowane, częstokroć wzajemnie się wykluczające sądy społecznego analfabety. Ale ks. Anastazy chce być dobrym kapłanem. Więc troszczy się o każdą owieczkę, więc uczy w szkole, więc odbudowuje kościoły, więc uczestniczy w manifestacji pokojowej. Nostalgia za Czortkowem jakoś w sobie przełamał i nie ma nawet z tego powodu wyrzutów sumienia, bo jego parafianie uczynili to znacznie wcześniej. Wrażliwość w tę ziemię a on swój duszpasterski obowiązek widzi m. in. w utwierdzeniu w nich owego poczucia swojskości.

Otwieram szeroko oczy widząc znanych mi niegdyś dobrze, gorących księży kresowych, którzy gdzieś na drodze między Bugiem, a Odrą zagubili niepowrotnie całą zbędną bagaż feudalnych sympatii i szowinistycznego zacięcia. Z perspektywy Odry—Nysy czymś nierealnym wydają się osławione brydżki u pana dziedzica i odruchy szowinizmu narodowego.

Podróże kształcą, o tym łatwo się przekonać w rozmowie z księdzem mi zza Buga.

Dobry pasterz nie potrzebuje studiować socjologii. Zachowa się społecznie prawidłowo w każdych okolicznościach jeżeli tylko ma ambicję współuczestniczenia w życiu swych owieczek.

ŚWIEŻY NURT

Poświęciłem im lwią część reportażu w „Słowie Powszechnym”: księżom rozumiejącym.

Ich liczba narasta z każdym dniem. Rekrutują się przeważnie spośród wychowawców młodzieży. Na początku czuli się zgubieni, osamotnieni. Teraz już wiedzą o sobie podobnych, zjeżdżają się, dyskutują.

W dziedzinie społecznej dostrzegają palącą konieczność chrystianizacji nowych form ustrojowych, w dziedzinie aktualnej problema tyki politycznej wyczekują z niecierpliwością formalnego ułożenia stosunku między Kościołem a Państwem. Stojąc na gruncie bezwzględnej posłuszeństwa Stolicy Apostolskiej, w sprawach związanych z ich powinnością kapłan-

ską, z najgłębszą troską mówią o tych skutkach politycznych pociągających Kurii Rzymskiej, które są sprzeczne z polską racją stanu. Są za jednością: w rzymskiej społeczności kościelnej i w ofiarnej służbie dla Polski. Wierzą, że oba stanowiska nie są wzajemnie przeciwstawne. Fakt zastanawiający: wśród księży o naprawdę postępowych poglądach społecznych nie zdarzyło mi się spotkać jednego, który nie byłby równocześnie wzorowym duszpasterzem. Ta zbieżność nie jest przypadkowa. W omawianych wypadkach radykalizm społeczny jest jak gdyby oczywistą konsekwencją kapłan-

skiego poczucia odpowiedzialności. To oni nadali mu treść konkretną: w ramach nowych warunków ustrojowych stwarzają katolickie fakty. Fakty znaczące, fakty, które ważą. — Nie napotkałem ani jednego, który by w tej działalności doznał jakichś przeszkód ze strony władz państwowych. Owszem proboszczowi z Pięnska lokalne czynniki próbowały robić siuchty, ale powiatowe władze administracyjne i partyjne zlikwidowały te próby w zarodku. A gdyby nawet? O czyją sprawę idzie ostatecznie? Skończmy wreszcie z postawą: „na złość mamie nie zjem ciastka”.

Najlepsi to nie ci najgłośniejsi. Ks. Jankowski z Górki k. Sobótki, ks. Nachtman z Wrocławia, ks. Antoni Lamparty ze Środy Śląskiej są pozbawieni zmysłu autoklamy. Zna ich tylko najbliższy krąg wiernych — ale ten zna ich dobrze.

Jako prekursorzy nowej, antytradycyjnej postawy stąpają granią wąską. Łatwo tam o mylny śląd, o błąd niezamierzony. Mają więc prawo do naszej podpory, opieki i troski. Nie mogą doznać zawodu ze strony, z której w pierwszym rzędzie ta pomoc im się należy.

Mikołaj Rostworowski

Zygmunt Kubiak

DROGI SADOKA ETAP PIERWSZY

Ostatnio wydana książka Grabskiego,*) mimo że jest reedycją, zasługuje na szczególną uwagę z dwóch względów: po pierwsze — ukazała się ona w druku w roku 1959 na parę miesięcy przed wybuchem wojny, co pozba wilo ją normalnego startu na rynku czytelników i recenzentów; po drugie — dziś czytelnik może na nią spojrzeć inaczej, jako na pierwszą część wydanego w r. 1948 „Konfesjonalu”.

Obie książki łączy przede wszystkim wspólny bohater, brat Sadok, który w „Konfesjonale” staje się księdzem Sadokiem. Podczas gdy „Konfesjonal” ukazuje społeczeństwo, a konkretnie mówiąc — parafię, kształtowaną przez świętego, — pierwsza powieść poświęcona jest odbywającemu się w duszy bohatera procesowi dorastania do swych zadań.

To określenie: „dorastanie do swych zadań” nie powinno stwarzać sugestii jakiegoś spokojnego rozwoju, jakiegoś czysto naturalnego procesu. Powieść Grabskiego we współczesnej literaturze stoi na przeciwnym biegunie w stosunku do prób czysto naturalistycznego interpretowania świętości, jakiego charakterystycznym przykładem są „Klucze królestwa” Cronina. U Grabskiego dramat rozgrywa się nie między człowiekiem i jego ideałami, ale między Bogiem, człowiekiem i szatanem.

Takie ustawienie problemu pozwala na bardziej uniwersalne ogarnięcie jego wielorakich perspektyw, ale jednocześnie — jak każde rozszerzenie perspektyw w oglądaniu rzeczywistości — powiększa sumę trudności artystycznych. I właśnie na zrozumieniu tego faktu, że wprowadzenie świata nadprzyrodzonego powiększa, a nie zmniejsza trudności, — polega w danym wypadku uczciwość artystyczna pisarza. W tym sensie mamy prawo powiedzieć, że powieść Grabskiego jest uczciwa artystycznie.

W historii Sadoka laska nie jawia się jako „deus ex machina”, aby zala-

*) Władysław Jan Grabski: W cień kolegiaty. Powieść. Albertinum — Księgarnia Sw. Wojciecha, 1949 r.

tać braki argumentacji psychologicznej. Przez większą część powieści dzieje Sadoka nie wykraczają zasadniczo poza sferę zjawisk przyrodzonych. Nawet jego przeżycia mistyczne i przecucia można argumentować czysto psychologicznie. Niebo i piekło nie ukazują się wyraźnie. Świat nadprzyrodzony wkracza jawnie do dziejów Sadoka dopiero w scenie egzorcyzmu.

„Ten schemat koncepcji artystycznej wiąże się organicznie z ideologią powieści. Najpierw oglądamy Sadoka, który sam chce zdobyć doskonałość przez zerwanie wszystkiego, co go wiąże z ziemią. Nie może jednak sam osiągnąć świętości. Grabski potrafi ukazać tragizm samotności i bezsilności człowieka: „Mecz się Sadok. Ponad mgłą domyśla się gwiazd, lecz nie umie wlecieć ku nim. Wiezi go ciężar stóp drepcących na szczyty gór samotności. Co będzie, gdy stopy omdleją do reszty? Oszałeć mogą źrenice od przepatrywania nieprzebitej mgły...”

Ta bezsilność ukazuje się w szeregu konkretnych sytuacji, a przede wszystkim w stosunku Sadoka do Pawła. Sadok pragnie ocalić duszę Pawła, chce wziąć na swoje barki jego winy, ale wyśiłki te kończą się klęską. Gdyby powieść skończyła się na momencie ucieczki Pawła po tragicznym wypadku u murów kolegiaty, — miałaby również sens artystyczny. Byłaby wyrazem wielkiego pesymizmu, pesymizmu dręczącego, niepokojącego, pesymizmu zmuszającego do rozpaczliwego szukania.

W tym właśnie momencie do dziejów Sadoka wtarga jawnie świat nadprzy-

rodzony. Laska w powieści Grabskiego nie jest płaszczem rzuconym na umarłego, nie przychodzi po zakończeniu walki, ale właśnie w czasie walki rozpaczliwej. Właśnie w momencie walki z szatanem Sadok zdobywa się na słowa egzorcyzmu, które stają się dla niego zasadniczym przełomem i początkiem wyzwolenia z samotnej bezsilności. Scena egzorcyzmu jest pod względem artystycznym jednym z lepszych momentów powieści, znacznie lepszym niż scena przedśmiertnego rozmowy Ingi z Sadokiem, gdzie dokonuje się dalsza przemiana duchowa bohatera.

„Gore człowiekowi, jeśli się sam uświęca” — tak brzmi lapidarnie streszczony sens dziejów Sadoka, zawarty w słowach włożonych w usta Ingi. Chodzi tu nie tylko o radosne poddanie się Łasce, ale również o jak najgłębsze związanie swoich losów z losami otaczającej człowieka społeczności. W ten sposób ostatnie karty powieści stanowią wyróżny pomost do „Konfesjonalu”.

Dzieje Sadoka od samego początku powiązane są z przeżyciami otaczających go ludzi. Autor wprowadza dość liczną galerię postaci, które mają odegrać pewną rolę w drodze duchowej głównego bohatera. I tu właśnie muszą się najściślej odezwać nasze zastrzeżenia.

Chcemy uniknąć nieporozumień. Jest rzeczą dopuszczalną, żeby w tego rodzaju powieści, gdzie główny bohater jest jednocześnie głównym problemem utworu, — dobór innych postaci był w pewnym sensie dostosowany do kon-

strukcji dziejów tego bohatera. Ale w żadnym razie nie powinno się to odbić na wewnętrznej prawdziwości tych postaci, na ich zwartości psychologicznej.

Wśród otaczających Sadoka ludzi nie wątpliwie najlepiej narysowana jest jego matka, choć nie oglądamy jej wprost na scenie: ukazanie namacalnego ciężenia nieobecnej postaci nad rozwojem bohatera jest niewątpliwie osiągnięciem artystycznym. Gorzej jest z Pawłem. Czytelnik nie zawsze potrafi odnaleźć właściwy stosunek między Pawłem — sprytnym zbrodniarzem, a Pawłem — demonicznym zbrodniarzem i prawie mistycznym wysłannikiem szatana. Najgorzej jednak przedstawia się sprawa z inżynierem Taube, o którym od początku wiemy, że przy końcu powieści się nawróci. Nad postacią Ingi najfatalniej zawładnęła tradycją w tego rodzaju postaciach sentymentalizmu, który zaznacza się niestety nawet w języku powieści.

Te wszystkie usterki nie mogą nam zasłonić istotnych wartości książki Grabskiego, o których mówiliśmy wyżej. Ocałała z tych wartości, które widzimy przede wszystkim w zwycięstwie, bądź co bądź, przeprowadzeniu jakże trudnej postaci brata Sadoka, — ustala pozycję literacką powieści. Ale nie tylko pozycję literacką. Książka Grabskiego przemienia do czytelnika, jest dla niego przeżyciem, z pewnością dlatego, że była przeżyciem również dla autora.

A to jest chyba bardzo istotne.

Zygmunt Kubiak.

Festiwal Wyższych Szkół Artystycznych

Prowokacja do dyskusji jest tym większa im silniejsze jest zadrażnienie wywołane obiektem. Czynnikiem urządzającym wystawę plastyczną na poznańskim festiwalu udało się osiągnąć w dużej mierze. Szczególnie interesującą, zaprezentowały się wydziały malarstwa obu Akademii.

Dyskusje, jak dotąd były słabe, nieudowodnione i często nie obejmowały całości zagadnienia. Jądro jego nadal pozostaje nierozgrzyzione.

O co bowiem chodzi. Oto, aby po dokładnej analizie sytuacji w obecnym szkolnictwie artystycznym pchnąć je na drogi większego powiązania sztuki z życiem, większego udziału jej w ewolucjach i dążeniach społeczeństwa. Na pytanie, która z dróg do tego prowadzi odpowiedzi są różne, ale można je zgrupować wokół dwóch tendencji.

Jedni wykazują konieczność realizmu w sensie formalnym i treściowo - ideowym, gdyż upatrują w tym zniesieniu się sztuki do mas, nawiązanie kontaktu z nimi, a dopiero następnie powolnego dźwignienia tychże ramieniem sztuki na wyżyny pełni życia i przeżywania pięk-

na. Drugi obawiają się konsekwencji odbierania sztuce jej autonomii, i narzucania formy. Wskazują drogę dłuższą, ale pewniejszą: możliwość szybkiego (w dzisiejszych warunkach szczególnie) rozszerzenia się kręgu elity konsumentów na cały naród. Droga do tego prowadzi przez podniesienie wszystkich warstw społeczeństwa do poziomu nie sensoryjnego lub narracyjnego, lecz plastycznego przeżywania obrazu i rzeźby. Laikom wydają się te podziały konsumowania sztuki wprost śmieszne. Ale właśnie w nierozumieniu przez ogół ludzi łącznie z inteligencją często nawet intelektualną (tych różnic tkwi tragedia współczesnych plastyków.

Niebezpieczeństwo pogłębienia tej ignorancji powszechnej, tej nieznajomości języka plastycznego tkwi w programie pierwszym.

Gdzież więc szukać ratunku jak nie w reformie szkolnictwa. Pytanie jednak, którego szkolnictwa?...

Wnioskiem wielu dyskusji, który domaga się gwałtownie przedstawienia do decyzji czynnikiem miarodajnym jest:

sprawa rozszerzenia znajomości istoty sztuki, czyli kręgu tzw. świadomości malarskiej czy rzeźbiarskiej, — dotychczasowego tabu artystów plastyków i małej elity konsumentów, — na wszystkich obywateli. Droga do tego wiedzie przez zmiany szkolnego systemu zbliżania młodzieży do sztuki oplakany mi lekcjami rysunku. Lekcje te powinny zastąpić poznawanie dzieł sztuki uczenie jej sensu i umiejętności przeżywania. Następnym odcinkiem tej wielkiej reformy to planowe zamówienia społeczne na takie dzieła, które dostępną będą najszerszymi rzeszom konsumentów. Zatem głównym zadaniem reformy wyższych szkół plastycznych winno być nastawienie studiów na nowy rodzaj zamówienia społecznego. Polska Ludowa i przyszłość socjalistyczna domagają się przede wszystkim nie formalnych zmian stylu i ducha dzieł sztuki, bo to i tak pozostanie zawsze niezależne od programów i zamówień, ale przygotowanie zastępy twórców malarstwa już nie stalugowego, lecz ściennego i mozaikowego oraz rzeźby nie kameralnej lecz monumentalnej.

A. J. G.

Nowe wydanie

powieści

Jana Dobraczyńskiego

WYBRANCY GWIAZD

ukazało się już w handlu

do nabycia wszędzie Cena zł 900.—

Mieczysław Kurzyński

W KRĘGU POEZJI I SUGESTII

Na początku powstaje pytanie — książka czy jej przedmiot. Monografia Jastruna*) o Mickiewiczu jest na ogół tak odmienna od dotychczasowych prac na temat życia i twórczości poety, że przy okazji jej lektury należałoby dać pogląd — jeszcze jeden wśród tyłu, które były i tyłu, które będą — kim był dla narodu polskiego Mickiewicz lat temu sto i kim jest dla nas dzisiaj. Wydaje się, że każde pokolenie polskie powinno na to drugie pytanie odpowiedzieć, że geniusz poety kryje się między innymi w wiecznej aktualności problemu piękna jego spuścizny i w niewyczerpanej różnorodności odpowiedzi na pytanie o wpływ wielkiej literatury na życie społeczne.

Gdy patrzemy wstecz, trzy poglądy na Mickiewicza wydają się dominujące. Pierwszy z nich to myśl pogrobowców romantyzmu, widzających w Mickiewiczu wodza narodu; tworzących z jego dzieł testament polityczny. Mimo wszystkich zastrzeżeń idea pogłębienia duszy jako walnego środka politycznego była bodaj tym, co w zgorzknieniach emigracji pozwalało wierzyć w przyszłość polityczną zwyciężanych.

Później Mickiewicz coraz bardziej stawał się symbolem polskości. Zygier deklamując „Redutę Orzona” wobec nauczyciela oportunisty i nawpół zruszczonej klasy określał stosunek do Mickiewicza pokoleń powstaniowych, włóczonych w system Apuchtina i Hurki. Ten pogląd trwał, aż kres położyły mu wypadki polityczne, aż na gruncie przemian Europy i tendencji liberalistycznych zaboru austriackiego zrodził się stosunek nowy. Młoda Polska odsuwała echa gustów Soplicowskich w ujmowaniu twórczości poety. Może nie jest przypadkiem, że apologia mesjanizmu mickiewiczowskiego, stworzona przez Artura Górskiego w tym się właśnie zrodziła pokoleniu. Działo tu prawdopodobnie prawo kontrastu. Zasadniczo jednak Kraków „Życia”, młodego Staffa i historycznej szkoły stańczyków dalszy był od apoteozy dawnej Polski w opowieści szlacheckiej niż pokolenia poprzednie. Wolał gorzyć i ironię Słowackiego, tym więcej, że i pogląd „Młodej Polski” na sztukę daleki był od zrozumienia piękna opisowości „Pana Tadeusza”. Nic właściwie z twórczości Mickiewicza nie nadawało się do włączenia w rytm symbolizmu i ekspresjonizmu, a choć Wyspiański inscenizował w r. 1901 „Dziady”, reszta twórczości Mickiewicza nawet jeśli była przyjmowana, to bez tego nastroju umieszczenia jak w pokoleniach poprzednich.

Wreszcie dwudziestolecie nie określiło właściwie swojego stosunku do Mickiewicza, ograniczając się z jednej strony do prac katedr uniwersyteckich z drugiej do sensacyjek wyciąganych przez Boya. Jest rzeczą jasną, że po doświadczeniach wojny musiał powstać nowy pogląd na twórczość poety. Wydaje się także, że syntezą jednego z wariantów tego nowego stosunku może być omawiana książka Jastruna. Inna rzecz, czy pogląd autora monografii należy zawsze przyjmować i czy wyraża ona opinię powszechną. Książka jest nie tylko dużej klasy osiągnięciem literackim, ale także dokumentem. Tym ciekawszą staje się jej lektura.

W trzech wymiarach

Przy lekturze omawianej książki w sposób najbardziej bezpośredni rzuca się w oczy plastyczność stworzonego obrazu. Widać, że autor jest nie tylko wnikliwym szperaczem i krytycznym czytelnikiem źródeł historycznych, ale przede wszystkim dużej klasy literatem, starającym się przy tym uwzględnić wszystkie strony życia i działalności Mickiewicza. Spotykamy więc w książce i rys biograficzny i wizerunek oblicza poetyckiego i epokę, która zdanem autora determinowała twórczość. W każdej też dziedzinie Jastrun czuje się jednakowo pewny i na uwagę zasługuje zarówno jego pogląd na temat realizmu kraj-obrazów Pana Tadeusza, jak próby odtworzenia ewolucji psychologicznej Mickiewicza w okresie odesskim, czy wreszcie charakterystyką klimatu politycznego Francji w okresie restauracji.

Rys biograficzny, opracowany na podstawie bardzo skrupulatnego badania korespondencji poety, zapisków współczesnych dokumentów, a nawet aktów policyjnych pozwala zobaczyć Mickiewicza tak prawie jak każdego ze znanych nam osób współczesnych. Jastrun osiągnął to, że przestaje nas interesować fakt czy Mickiewicz istotnie reagował na uroki życia odesskiego, tak właśnie jak to przedstawia Jastrun, lub czy te właśnie myśli przeżywał siedząc przy łóżku umierającego Garczyńskiego. Wystarczające się staje, że tak być mogło, a że dokumentacja jest na ogół mocna i jak powiedziałem skrupulatna więc czytelnik wierzy autorowi jest mu z tym dobrze.

Uniknął przy tym Jastrun patrzania na Mickiewicza oczami wielbicieli pomnikowych brązów, a także oglądania go jedynie od strony sensacyjek alkowy. Stworzył w omawianych partiach książki sylwetkę literacką, ale pełną nadzwyczaj i do końca konsekwentną. Mimo mocnej dokumentacji nie jest jednak konieczne przyjmować, że Mickiewicz był taki właśnie jak go przedstawia Jastrun. Wystarczy uznać, że mógł być taki, a to jeśli traktować książkę, nie jako dzieło naukowe, lecz jako utwór literacki — wystarcza.

Powolywanie się na literackość sylwetki biograficznej Mickiewicza usprawiedliwione jest świadectwem samego autora. W poświawiu Jastrun odzgnując się od plotek, mimo wszystko nie wyłącza swej książki z gatunku „wie romaneów”. Z drugiej strony pozwala to wybaczyć Jastrunowi pewną dowolność naświetlenia postaci poety. Autor monografii zbyt jednostronnie przedstawił życie religijne Mickiewicza. Jako literatowi reprezentującemu określoną postawę światopoglądową wolno mu było tak postąpić. Czytelnik jednak powinien przy lekturze pamiętać, że ma do czynienia z dziełem literackim dużego talentu, nie zobowiązany przecież do całkowitej, suchej beztendencji.

**

Wizerunek oblicza poetyckiego Mickiewicza na jeszcze może większe zasługuje uznanie. Jastrun, sam poeta nieprzeciętny, umie odczuć wszystkie drgnienia pióra genialnego pisarza. Pojęcia przy tym jego o sztuce, poezji i życiu tak są głębokie i uderzająco prawdziwe (o czym za chwilę), że in-

terpretacja zjawisk literackich zawsze niemal jest słuszna. Przy tym mimo, że Jastrun daje szerokie tło historyczne, mimo, że może być uznany za reprezentanta szkoły socjologicznej w badaniach literackich, nigdzie przecież nie wpada w tak często występujące u przedstawicieli tej metody trywializowanie i prymitywizację zjawisk literackich. Geneza „Pana Tadeusza” i określenie go jako baśni o właściwych stosunkach między dworem a chatą na Litwie początków 19 wieku nie umniejsza w oczach autora monografii jego rangi literackiej i wartości poetyckiej. Przeciwnie, Jastrun podkreśla wielkość dzieła i ma pełne zrozumienie dla niezależności jego powstania od stosunków ekonomiczno-socjalnych; więcej, od chęci przekonań i aktualnych doznań samego poety. Trudno o trafniejsze ujęcia niż to co w tym przedmiocie mówi autor.

„Trudne do objęcia są sprawy twórczości. Nie ma nic bardziej zawodnego niż odczytywanie biografii pisarza z dzieł jego. Ogromna pogoda „Pana Tadeusza” nakrywająca kopułę niebieską ten skrawek ziemi literackiej, opisanej w poemacie i zaludnionej postaciami, które nigdy nie żyły, kazałaby wnioskować — gdybyśmy nie mieli innych dokumentów — o sielskim nastroju i o znakomitym samopoczuciu autora. Ale jak nieraz z uspokojonych myśli rodzi się poemat najprawdziwszego cierpienia, tak z bólu, z udręki, z tysiąca przeciwności powstaje rzecz pogodna i pełna nadziei. Pecci piszą bowiem z doświadczeń długoletnich, nie z chwilowych przeżyć, choćby najsilniejszych. Przynajmniej dzieła naprawdę trwale czerpią siłę swoją z tego potężnego rezerwuaru, jak artezyjskie studnie drwiące z obecności podskórnych strumieni.

Nie takiego dzieła domagała się od poety emigracja skłócona, walcząca z bezlitosną rzeczywistością. Stary Niemcewicz życzył sobie, i w tym wypadku był wyrazicielem ogółu szlachty, żeby Mickiewicz opisał świeże wydarzenia, wojnę 1831 r. Nie kupić jednak Muzy. Ciągnęła ku innym stronom, z dala od stref ulewy i grzmotu. Poeta tragicznego narodu, który tyle krwi wylał za wolność swoją i cudzą, wyrzucał sobie te wywczasy soplicowskie, ale nie mógł inaczej. „Żyję na Litwie, w lasach, karczmach, ze szlachtą, Żydami. Gdyby nie poema, uciekłbym z Paryża” — zwierzał się Mickiewicz w liście do Odyńca... (str. 203)

Te poglądy na poezję stały się punktem wyjścia do trafności ujęć twórczości Mickiewicza. Reszty dokonała bogata kultura literacka i głęboka wrażliwość estetyczna Jastruna. W sumie dzieło zaskakuje słusnością sądów o poszczególnych utworach Mickiewicza, a co najważniejsze wolne jest, mimo żywego wątku biograficznego i bogactwa studiów nad epoką od prymitywnego genetyzmu zarówno psychologicznego jak i socjologicznego.

To ostatnie jest specjalnie ważne, bo coraz rzadsze. Jastrun obrazuje epokę szczegółowo. Daje ciekawe charakterystyki zarówno postaci historycznych jak i opisy wydarzeń. Unika jednak bezpo-

średnio tłumaczenia twórczości socjologią i determinowania dzieła w warunkach ekonomicznych. Wspomina wprawdzie, że

„cokolwiek by się powiedziało, nie może on (pisarz) wyjść poza krąg ich (czytelników) pojęć, może je tylko napiąć do ostatnich granic. Prawa rządzące światem wyobraźni pisarza są prawie równie nieublagane, jak prawa rozwoju ekonomicznego społeczeństwa, choć mniej są uchwytnie. — Nie można przeskoczyć, pustej przestrzeni, która powstaje na skutek opóźnienia się narodu w sferze socjalnej” (strona 208-9).

Z przytoczonej jednak zasady nie czyni normy estetycznej, ani normy przydatności społecznej dzieła (co w pewnych warunkach się pokrywa, ale zawsze jest szkodliwe). I to jest właśnie najważniejsze. Sumując, epoka może być wyznacznikiem twórczości o tyle, o ile jest wyznacznikiem świadomości każdego człowieka żyjącego w danych warunkach i w danym momencie historycznym. Prawdziwa jednak wielkość dzieła jest ponadczasowa i prawdziwy twórca obok świadomości społecznej posiada także niezdeteminowany talent, zdolność twórczą, którą my katolicy skłonni jesteśmy nazywać iskrą bożą, wynikającą z nieśmiertelnej natury duszy ludzkiej.

Tu mówi poeta...

Byłoby krzywdą dla omawianej książki gdyby nie pokwitować tutaj jeszcze jednej wielkiej jej war tości. Są nią rozsiane na całej przestrzeni poglądy autora na temat sztuki, piękna i klimatu, w którym dzieło artystyczne może powstać. Oto charakterystyczna cytata:

„Rozczarowanie jego (Mickiewicza) podczas... spotkań... z Goethem płynęło z błędnego mniemania, że sam poeta musi być jaśniejszy i bardziej jeszcze interesujący od dzieła. Tymczasem rzecz się ma odwrotnie. Tylko ludzie, którzy nie wypowiadają się w formach tak trwałych jak sztuka, mogą być w rozmowie naprawdę interesujący”.

Tych cytat nie warto mnożyć. Przytoczona jest dostateczną ilustracją, jak ciekawe zjawisko stanowi książka Jastruna. Jest zarazem końcem pozytywów w recenzji. Na zakończenie parę słów krytyki.

Poprawka

Z kolei chciałbym zsumować wątpliwości.

Pierwsza to problem stosunku autora do Mickiewicza. Wydaje się, że Jastrun zbliżywszy nam po stać poety zbyt mało podkreślił jego wielkość moralną. Zaletą książki, jak już powiedziałem jest plastyczność i bliskość postaci Mickiewicza. Zaletą jest konsekwentne usunięcie wszelkiej sensacji z jego życiorysu.

Motywy jednak działalności pa ryskiej poety, jego stosunki domowe w tym okresie, szorstkość obejścia mogą stworzyć sugestie niewłaściwe. Dlatego zawsze przy pominać należy, że Mickiewicz to nie tylko geniusz poetycki, ale to także tytan charakteru i człowiek o poziomie moralnym na najwyższą skalę duchów ludzkich.

Sprawa druga dotyczy uczuć religijnych Mickiewicza. Nie dobrze jest ujmować je jedynie jako funkcję libido lub zafascynowanie „czarnoksiężnikiem”.

Jastrun na ogół stara się być obiektywny. Ale człowiek wierzący daleko więcej by zrozumiał za równo z liryki religijnej poety jak z jego przeżyć mistycznych. Czytając książkę — poprawkę w tym zakresie trzeba stale przyjmować.

Wreszcie pamiętać trzeba, że monografia jest fascynującym u-pominkiem literackim, złożonym w hołdzie Mickiewiczowi, nie jest i nie może być jedynie źródłem wiedzy o poecie i o jego twórczości. Nie powinna i nie może zastąpić prac ściśle naukowych. Jest dziełem artystycznym, a nie podręcznikiem. Dlatego daje myśli i syntezy, ale własny pogląd może dać tylko literatura oryginalnych wierszy Mickiewicza i podbudowa monografii naukowych. O tym czytając i chwając pracę Jastruna, odczuwając w pełni jej piękno i przyznając wartości — pamiętać należy.

Mieczysław Kurzyński

Do

P.T. Prenumeratorów i Czytelników

Administracja tygodnika „Dziś i Jutro” apeluje do wszystkich P. T. Prenumeratorów i Czytelników, aby podjęli trud rozpowszechniania naszego pisma.

Jeżeli każdy z naszych prenumeratorów zjedna nowych pięciu, tygodnik nasz uzyska stałą podstawę finansową, jeżeli abonament opłacany będzie punktualnie, to podstawa finansowa okaże się najbardziej solidną i niezawodną.

Wówczas będziemy mogli rozbudować, rozszerzyć cały szereg naszych działów, urozmaicić pismo ilustracjami, nie nadużywać ideowej, bezinteresownej postawy autorów, zamieszczających swe artykuły na naszych łamach, wywiązywać się punktualnie ze swych zobowiązań, słowem pozbyć się wszystkich tak bardzo utrudniających pracę spraw, związanych z ciężką sytuacją naszego pisma.

Czytelnicy, Od Was zależy to, jaki poziom osiągniemy w przyszłości, czy będzie się on podnosił. Najlepsza wola redakcji i największy wysiłek nie są w stanie przezwyciężyć trudności finansowych.

Prenumeratorzy, opłacajcie punktualnie prenumeratę. Czytelnicy, przestańcie być wyłącznie tylko czytelnikami, stańcie się prenumeratorami.

ADMINISTRACJA „DZIŚ I JUTRO”

*) Mieczysław Jastrun „Mickiewicz”. Wyd. II. P. I. W. Warszawa 1949.

NIEDZIELA 5 czerwca, dzień Zielonych Świątek zastała Paryż rozsloneczniony, w pełni swej letniej krasy. Po upostoszonych ulicach sennie wałęsały się osamotnione grupki turystów, w parkach, w cieniu i zaciszu kryły się rzesze starszych i zażywnych spacerowiczów. Kto żywy i kto zdrów jeszcze poprzedniego dnia zapełnił wszystkie podmiejskie lasy i miasteczka, uciekając przed letnim skwarem i nudą wielkomięską. Najbystrzejsze oko reportera, najczulszy węch wywiadowczy nie dostrzegłby w tym dniu w Paryżu nic więcej — niż typową kanikule.

A jednak następnego dnia rano gazety podały pod wielkimi sensacyjnymi tytułami „Próba zamachu stanu udaremniona” została dzięki czujności policji. 16 wyrowotowców pod kluczem. Energiczna akcja śledcza pozwala sądzić, iż spiszek, posiadający poważne rozgałęzienia polityczne i wojskowe zostanie całkowicie zlikwidowany!

Nie zauważyłem wprawdzie większego zainteresowania tym spiskiem wśród przeciętnych przechodniów, niż głośną parę dni wcześniej rozprawą sądową przeciw paryskiemu sfoferowi, który „z miłości do pięknej Polki — hrabiny Prahńskiej (?) zamordował żonę, wywiózł jej zwłoki i zakopał 50 km od swego mieszkania.” Gazety, zwłaszcza te sensacyjne rozpisywały się w dalszym ciągu, dorzucając codzien nową garść sensacyjnych wiadomości. Na czele spisku stał pułkownik rezerwy Delorme, w spiszek wciągniętych było paru oficerów sztabowych, zaarrestowany został radny miejski z RPF (de Gaulle'a). Spiskowcy rekrutują się przeważnie z prowincji, wynajęli autobus i, załadowawszy broń, jechali wszyscy 16 razem do Paryża, by obalić rząd. Zapytani, jak sobie wyobrażali w tak małej liczbie opanować sytuację — odpowiedzieli, że byli przekonani, że nie napotkają się na żaden opór, przeciwnie. Akcja ich będzie przyjęta z entuzjazmem przez wszystkich. Dlaczego to robili? Bo Francji grozi niebezpieczeństwo, trzeba więc silnej władzy. Kto miał ją sprawować? Generał de Gaulle, który wprawdzie nie był o tej inicjatywie poinformowany, gdyż jego otoczenie jest niepewne i mogło by plany zdradzić, ale „osobistości bliskie ko niego stojące” twierdziły, iż to go właśnie sobie zyczą.

Okazało się skąd inąd, że czujna policja min. Mocha już od dłuższego czasu obserwowała niepokojącą działalność pułkownika Delorme i „pewnych kół degaulistowskich” i że zdołała na czas zapobiedz poważnym konsekwencjom, jakie pociągnęłyby za sobą taka próba zamachu stanu. Władze RPF ogłosiły komunikat, że nie mają z tą akcją nic wspólnego, sami ostrzegali władze francuskie, że zanosi się na prowokację. Po słowie komuniści wnieśli interwencję w sprawie uzbrojonych bojówek faszystowskich. Soustelle, sekretarz generalny RPF wystąpił przeciw „intrydze” rządu, dzięki której daje się komunistom pole do popisu. Prasa prawicowa oskarżyła min. Mocha o świadome zorganizowanie prowokacji. Francuski minister spraw wewnętrznych nie pozostał dłużny i z trybuny parlamentarnej oskarżył RPF jeśli nie o to, że zorganizowało spiszek, to, że kulturuje w swych szeregach tego rodzaju element ludzki i tego rodzaju atmosferę, że spiski powstają automatycznie. Rzecz oczywista, by się prawicy nie narazić, przy okazji zaatakował również i posłów komuni-

stycznych. Było, dla dowcipnych, których w Paryżu nie brak, zabawy na parę tygodni.

Wojciech Ketrzyński

NA POLITYCZNYM

Pułkownik Delorme okazał się, rzecz oczywista ani Delorme, ani pułkownikiem. Był zwyczajnym, przeciętnej klasy prowokatorem. „Nieszczęśliwym trafem” powiesił się zaraz w więzieniu i wraz z nim zniknął z całej sprawy główny oskarżony. Rychło też zapomniano o wszystkim i prasa znalazła sobie inne sensacje na sezon ogórków.

Czym była sprawa „spisku na Zielone Świątki”? Oczywiście nie żadnym poważnym ewenementem politycznym. Była drobnym fragmencem rozgrywki, toczącej się od paru lat między tzw. Trzecią Siłą, czyli umiarkowanymi, a skrajnymi ugrupowaniami obozu mieszczańskiego. Ponieważ jednak zasadą tej walki jest, by władza nie wyszła z rąk tego obozu, i by w żadnym razie nie dopuścić do niej komunistów (na tym odciśnięciu ma obowiązywać całkowita solidarność), przeto rozgrywki ograniczają się do takich „drobnych złośliwości”, mających wpływ na przyszłą postawę mieszczańskich wyborców.

Podstawowym elementem dla oceny współczesnej rzeczywistości politycznej francuskiej, jest właśnie ta zasada ograniczonych celów walki obozu mieszczańskiego. Można dla niego szukać jakiejś innej nazwy, gdyż niewątpliwie obejmuje on sobą, idąc w prawo, wszelkie inne elementy społeczne — biurokrację, wielki kapitał, szczytki arystokracji i ziemiaństwa. Ponieważ jednak przeważa tam ton i postawa psychiczna mieszczańska, tak jak przeważa ona w zewnętrznym przekroju życia narodowego, lepiej się na tej, niedokładnej formule zatrzymać.

KONFLIKT „PORZĄDKU” I „REWOLUCJI”

Opublikowane w tym roku pamiętniki generała Giraud, głównego antagonisty gen. de Gaulle w francuskim emigracyjnym Komitecie Wolnej Francji, są ciekawym dokumentem oświetlającym istotę konfliktów w łonie prawicy.

Gen. Giraud, bohaterski dowódca VII armii z r. 1940, otoczony legendą za brawurową ucieczkę z twierdzy Koenigstein i dotarcie aż do Algieru wytacza w swych pośmiertnych pamiętnikach niezwykle ostry akt oskarżenia przeciw gen. de Gaulle i całemu jego otoczeniu, które traktuje jako klikę intrygantów i karierowiczów. Oskarża de Gaulle'a o dwukrotną próbę zamachu na jego życie, wzamian za co zresztą prasą gaullistowską oskarżyła Giraud'a o knowania i spiski przeciw rządowi francuskiemu.

Umiarkowana prasa francuska określiła generała Giraud jako „tradycyjnego wojskowego, wychowanego w kulcie niemego poświęcenia” i przedstawiciela „stronnictwa porządku”, zaś de Gaulle'a, któremu zresztą wypomina obecną postawę RPF-u — jako tego, który głosił „konieczność połączenia zwycięstwa z przemianami politycznymi”, który twierdził, że walka „Resistance” otwiera drogę do rewolucji.

W istocie Giraud, przy całym swym niezaprzeczanym bohaterstwie i przy niewątpliwiej krzywdzie osobistej, jaka go spotkała na skutek intryg wrogiemu mu obozu — był po prostu w Algierze przedstawicielem Petain'a. Przez długi czas otwarcie zresztą propagował tezę o „uwięzionym marszałku”, którego wolę spełnia. Najbliższy jego współpracownik gen. Chambe, był niewątpliwie mężem zaufania skrajnej prawicy w armii, jego szef wywiadu, gen. Ronin nie był nikiem innym, jak tylko dawnym szefem wywiadu Vichy. Poglądy zaś gen. Giraud charakteryzuje jego rozmowa z de Menthon: „Proszę mi wierzyć, że z oddziałami dobrze uzbrojonymi i dobrze dowodzonymi — nie ma takiego strajku, którego bym się obawiał”.

Jeśli więc nie ma powodu, dla którego należałoby współczuć klęsce politycznej Giraud w rozgrywce z de Gaullem, to trzeba jednak stwierdzić, że cała „postępowa” frazeologia, jaką operowano wtedy w Londynie była tylko sztuczna zastana, za którą przygotowywano prawicową dyktaturę. Gdy okazało się, że większość polityczna parlamentu francuskiego chce rządzić, po linii społecznej nie wiele się różniąc, ale nie mniej bez dyktatury i bez oddania władzy w ręce byłego londyńskiego sztabu — gen. de Gaulle zaczął formować własne stronnictwo — stąd powstało RPF.

Warto się przyjrzeć z bliska tej politycznej formacji, reprezentującej we Francji najsilniejsze ugrupowanie prawicowo-faszystowskie. Na czele RPF stoi, obok gen. de Gaulle — grupa polityków, których łatwo podzielić na dwie kategorie — jedni, jak Soustelle, Malraux, Palewsky, Diethelm — to zawodowi działacze, którzy z niejednego chleba jedli, a którzy jak dotąd nie potrafili się zmieścić w żadnym ze stronnictw działających we Francji, inni, jak Remy, de Bernouville, czy Valery-Radot są działaczami konspiracji, których kariera związana jest ściśle z tego typu aktywnością, jaka, po zakończeniu się wojny mieści się może tylko w ramach faszystowskich grup szturmowych.

Zato tzw. rada narodowa RPF daje nam jasny już przekrój społecznej zawartości tego kierunku — oto na 134 członków — najważniejsze grupy według pozycji społecznych —

kadry przemysłu	— 40
wolne zawody	— 53
wysocy urzędnicy	— 10
kupcy	— 9
niższy urzędnicy	— 10
intelektualiści (naukowcy, pisarze)	— 3
ogółem	125

zaś w tym gronie znajdzie się tylko 4 robotników, czterech przedstawicieli kolonii francuskich, z czego tylko 2 kolorowych. RPF od słania więc przez ten skład swą wyraźną tendencję ku prawicy społecznej — sojuszu wielkiego kapitału i bogatej burżuazji (wolne zawody). W istocie wyniki wyborów do Rady Republiki wykazują, że pozycje RPF pokrywają się z tradycyjnymi ośrodkami wpływów stronnictw prawico-

wych — rolnicze, konserwatywne departamenty zachodnie i wschodnie, ośrodki bogatszego mieszczaństwa po wielkich miastach (mniej szej hołdowały raczej umiarkowanemu radykalizmowi). W ośrodkach robotniczych, rzecz oczywista, wpływy RPF okazały się niemal żadne.

Na czym opierały się wyliczenia polityczne RPF, który przecież wiedział, że nie ma szans na zdobycie sobie zaufania mas francuskich w normalnej kampanii wyborczej? Na nadziei, że widmo komunistycznej postawy proletariatu skłoni Trzecią Siłę wcześniej czy później do sojuszu z prawicą i na nadziei na zwycięstwo w Stanach Zjednoczonych Republikanów, z którymi degauliści utrzymywali od dawna przyjazne stosunki. Wreszcie w przekonaniu, że hegemonia Stanów Zjednoczonych nad zachodnią Europą jest nieunikniona — uznali oni za właściwe z góry uzyskać sobie poparcie i sympatię przyszłych władców.

SŁABOŚĆ PODSTAWĄ SIŁY

Wyliczenia amerykańskie okazały się jednak inne. Uznali oni III Siłę, zbiór słabych i chwiejnych ugrupowań centrowych, za najpewniejszy i najposłuszniejszy element polityczny na terenie Europy. — Odślania tę politykę doskonale Maurice Didier na łamach „Esprit”:

„Właśnie z powodu ich słabości kapitał amerykański zdecydował się poprzeć specjalnie stronnictwa centrowe. To jakby „złota reguła” międzynarodowego kapitalizmu (który na własnej skórze dowiedział się dzięki Hitlerowi i Mussoliniemu jakie niebezpieczeństwa grożą tym, którzy będą popierać te kierunki, które dzięki swej gwałtowności mogą uciec spod kontroli). Zasadą więc jest by podtrzymać tylko takie kierunki, które same są niezdolne do utrzymania się u władzy”.

Ta mało pochlebna rola przypada właśnie koalicji MRP i socjalistów, do której dołączyli się później jeszcze i starzy radykałowie.

Nie warto jest chyba zgłębiać charakterystykę społecznego oblicza III Siły. Wypierana z prawa przez RPF, z lewa przez potężną partię komunistyczną — stała się III Siła istotnie wąską grupką, bez stałej większości parlamentarnej, bez oparcia w społeczeństwie, licząca na drobne mieszczaństwo i straszące spokojnych ludzi raz niebezpieczeństwem zamachu stanu z prawa, raz groźbą rewolucji z lewa. Przy tym wszystkim podstawą działania III Siły jest „plan Marshalla”, wobec czego zmuszona jest do potulnego ponoszenia wszelkich konsekwencji stałej penetracji, dyskretnej ale skutecznej — kapitału amerykańskiego na rynek polityczny i gospodarczy Francji.

MRP — stronnictwo o społecznym programie głoszącym swój chrześcijański światopogląd, wystartowało w roku 1944 z postawy jawnie postępowej i radykalnej. Miało ono za sobą najlepszą tradycję postępowych katolickich ośrodków społecznych francuskich

XIX i XX wieku, miało chlubną działalność małego, ale odważnego stronnictwa „chrześcijańskiej demokracji” za czasów III Republiki.

Niespodziewanie, po wojennych klęskach prawicy, zostało jej własnymi głosami wyniesione do roli jednego z najsilniejszych stronnictw francuskich IV Republiki. Oparte jednak na tak niepewnej bazie wyborczej, nie posiadające przygotowanych kadr postępowych chrześcijańskich działaczy społecznych, skrepowane tradycyjnymi koncepcjami społecznymi, które nie pozwalały im jawnie stanąć na płaszczyźnie socjalistycznej reformy, poszło po linii czy sto frazesowego radykalizmu społecznego i załamało się gdy tylko poczuło presję własnych, konserwatywnych w większości mieszczańskich wyborców, a presję kapitalizmu na całokształt ustroju społeczno - państwowego. Załamało nie to było niewątpliwie dotkliwym ciosem dla chrześcijańskiego społecznego ruchu postępowego, ale i jednocześnie ostrzeżeniem, że półśrodkami i półdoktrynami dziś się nie buduje. Można tą drogą tylko siebie i słuszną ideę kompromitować.

Ten sam dziennik MRP — „L'Aube”, który tak pięknie i odważnie bronił narodu hiszpańskiego w tragicznych dniach wojny do mowej szanbił się w dniach walki policji ze strajkującymi górnikami tak potwornym zakłamaniem:

„Niegdyś robotnicy przyjmowali, i nakazaniej zupełnie słusznie, ukazanie się policji i wojska (podczas strajków) — jako prowokację. Dziś przyjmują ich radośnie jako oswojonych”. gdy członek chrześcijańskich związków zawodowych przyznał się:

„Patrzyłem się z zaciśniętymi pięściami, wściekły, gdy po dwudziestu sześciu dniach strajku, dwunastu ludzi obsady strajkowej opuściło kopalnię, otoczoną wojskiem — sztandar związkowy na czele. Ja, który nie jestem komunistą — pokłoniłem się wówczas czerwonemu sztandarowi!”

Losy M.R.P. są bolesnym ostrzeżeniem dla tych wszystkich, którzy chcą działać w oparciu o abstrakcyjne koncepcje społeczne solidaryzmu, o przedawnione już i nieskuteczne wzorce ustrojowe.

Pozostaje tylko wówczas slogan „Trzeciej Siły” i smutna rola zaprzeczania praktyką wzniosłym gloszonym zasadom. Chrześcijańskie zasady społeczne zaś stanowią dziś w życiu publicznym czynnik tak ważny, że marnowanie ich do tak mizernej działalności — to ciężki, doprawdę ciężki grzech.

PRZEŁOM IDEOLOGICZNY

S. F. I. O.

Jeśli załamanie się MRP jest dla chrześcijańskiego ruchu społecznego ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem poddawania się łatwym złudzeniom doktrynerstwa, to ocena rozwoju francuskich socjalistów (SFIO) jest z kolei ostrzeżeniem — jak nie należy próbować łączyć programu socjalistycznego ze spiritualistyczną postawą światopoglądową.

WACHLARZU

Partia Socjalistyczna, pod długoletnim przewodnictwem Leona Bluma — była w tradycjach francuskich klasycznym reprezentantem wyzwoleniczych społecznie tendencji lewicowych, połączonych z jawną wolą utrzymania swej działalności w ramach ustroju republikańskiego. Była to więc do drugiej wojny światowej partia robotnicza, socjalistyczna lecz o tendencjach liberalno - reformistycznych, a nie rewolucyjnych. Przy tym do wojny legitymowała się programem opartym na światopoglądzie materialistycznym i marksistowskim.

Wojna wywołała głębokie zmiany w tej części ruchu socjalistycznego. Leon Blum zarówno w swej książce „Na miarę człowieka”, jak w swym programowym wielkim przemówieniu na Kongresie Partii Socjalistycznej w r. 1945 tak formułuje swą diagnozę:

Socjalizm francuski zawiódł w momencie próby. Socjalizm francuski był nieobecny w chwili łamania się Francji w r. 1940, w czasie walki z najazdem niemieckim. Zdemoralizowane było nie tylko społeczeństwo francuskie, zdemoralizowany był również socjalizm francuski, któremu zabrakło „wielkiego stylu w życiu moralnym”, który zapomniał, że „moralność styka się z religią a propaganda z apostołstwem”. Głosi on więc pogodzenie się socjalizmu z religią. Jerzy Izard, czołowy ideolog „blumizmu” stwierdza, „pragniemy oprzeć na spirytualistycznych postawach naukę o rewolucji”, zaś Blum popiera tę myśl stwierdzając, że „widać nawet w Kościele Katolickim pewną równoległość, możliwą zgodność, a przynajmniej nie przeciwną stanowczość wysiłków” między chrześcijańskimi a socjalistycznymi idealami.

Tymczasem partia socjalistyczna nie odżywa, przeciwnie załamuje się coraz to bardziej. Czyż istotnie nie znalazła w społeczeństwie francuskim oddźwięku dla nurtu chrześcijańskiego myśli socjalistycznej? Nie, postawa wszystkich młodych środowisk katolickich od młodych z „Témoignage Chretien”, poprzez „Esprit” aż do „progressistów” włącznie temu przeczy. Gdzie indziej trzeba szukać źródła słabości — w tym mianowicie, że jednocześnie z przemianą światopoglądową — zatracono S.F.I.O. swój socjalizm.

Socjalizm francuski cechowało, jak zaznaczyliśmy to już, lojalna postawa wobec III Republiki, mimo otwarcie głoszonego programu klasowego i solidaryzującego się z międzynarodowym ruchem socjalistycznym. „Jako, że (partia socjalistyczna) przyjmuje taktykę kolejnych reform i współdziałania z innymi partiami, zjednoczonymi w obronie Republiki — stanowi on w rzeczywistości lewe skrzydło obozu demokratyczno-republikańskiego”, oceniał w roku 1934 SFIO - Seignobos. Tkwił w tej postawie zasadniczy niebezpieczny element podporządkowania się rzeczywistości politycznej, a potem społecznej mieszczaństwa, a co za tym idzie ztracenia swej klasowej postawy. Otwierając drogę światopoglądowi spirytualistycznemu nie umiał Leon Blum umocnić postawy społecznej swej partii. Gwałtownie zaatakowany przez element mieszczański

— aparat partyjny i ideologiczny uległ mu całkowicie.

„Można przy tej okazji zaobserwować, pisze w swej krytyce socjalizmu Jean Roux, jak „koń trojański” przeciwnika klasowego może przedostać się w szeregi partii ludowej i postępowej i ją sobie podporządkować. Cała presja opinii mieszczańskiej i reakcyjnej skoncentrowała się poprzez manewry polityczne i poprzez prasę na dwa punkty, które w istocie stanowiły jedną całość: z jednej strony podtrzymywać (u socjalistów) buntowników z prawicy pod wodzą Ramadier, a z drugiej strony terrorizować moralnie i ośmieszać jako głupców bez przyszłości, nieznośnych sekciarzy tych działaczy, którzy chcieli pozostać wiernymi socjalizmowi...”

Gdyby tu chodziło tylko o próbę przekupienia, to spotkała by się ona na pewno z uczciwą reakcją. Ale tu chodzi o coś więcej. Chodzi tu o cały aparat klasowy, który celowo spenetrował organizm partii, która przecież miała na celu zniszczenie ustroju kapitalistycznego”.

Słusznie też dalej podkreśla ten wnikliwy krytyk socjalizmu francuskiego, że tym wyłomem poprzez który dostawał się do łona partii ten „koń trojański” były teki ministerialne, dzięki którym socjaliści wciągani byli powoli w strukturę i grę interesów państwa burżuazyjnego. Nic też dziwnego, że czołowy organ partii „Le Populaire” w roku 1947 już bez zakłopotania zawiadomiał swych czytelników w związku z planem Marshalla, że USA zamierzają stworzyć na terenie Europy gigantyczne trusty handlowe, które inwestować będą na miejscu kapitały uzyskane ze sprzedaży amerykańskich towarów. Komentując ten fakt, jeden z młodych katolickich publicystów zapytuje: „Chcielibyśmy zrozumieć jakim sposobem panowie Blum czy Jouhaux zdołali się stwierdzać na poważnie, że „plan Marshalla nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa dla klasy robotniczej czy dla socjalizmu. Dziecko by wiedziało przecież, że jeśli się chce socjalizmu nie można pokładać wszelkich nadziei w pomocy finansowej państwa, które jest rządzone przez jawnych wrogów socjalizmu. Tego jednak socjaliści francuscy nie chcą wiedzieć”.

KOMUNIŚCI WALCZĄ NADAL

„Wszędzie tam, pisze cytowany już młody, katolicki ekonomista Dominique Olivier w zakończeniu swej bardzo odważnej pracy — „Les conjonctures économiques du neo - fascisme”, wszędzie tam gdzie proletariatu nie udało się zdobyć władzy i wszczęcia polityki planowej odbudowy — klasa średnia staje się powoli narzędziem nowego faszystwu, który, energicznie zwalczając proletariatu i entuzjastycznie wychwalając dawne dobre czasy, darzyć będzie mieszczaństwo złudzeniami nowej przyszłości przez jeszcze parę dekad, czy parę lat”.

Oceniając trzeźwo dzisiejszą rzeczywistość polityczną IV Repu-

bliki trzeba stwierdzić dwa kardynalne fakty — że partią, reprezentującą faktycznie masy robotnicze jest tylko i wyłącznie partia komunistyczna, i że, zgadzając się lub nie na jej ideologię i taktykę, jedynie ona stara się konsekwentnie bronić interesów mas proletariackich na płaszczyźnie politycznej. Polityczna walka o władzę dla klasy robotniczej stanowi wyłączną domenę działalności komunistycznej. Ma ona przeciwko sobie nie tylko wszystkie stronnictwa oparte na bazie społecznej innych klas, ale ma przeciwko sobie całe państwo, które wybudowane jest jako wyraz władzy warstw mieszczańskich. Niezwykle trudna i drażliwa rola partii komunistycznej francuskiej polega więc przede wszystkim na tym, że znajduje się ona w stanie jawnego konfliktu z tym wszystkim co stanowi dotychczasową legalną i formalną strukturę tego społeczeństwa. Będąc partią jawną, legalną i parlamentarną — jest jednocześnie wrogiem całego porządku w którym działa, a nie tylko współpartnerów politycznych. Stąd sprzeczności, które musi przezwyciężać. Broni świadomie interesów klasy robotniczej, a jednocześnie, zwalczając świadomie gospodarkę rządową, podporządkowaną światowemu kapitalizmowi, uderza między innymi w interesy materialne także i świata pracy. Jest rzeczą bowiem pewną, że szybsze podporządkowanie poprzez plan Marshalla gospodarki francuskiej wymaganiom amerykańskiej dałoby w konsekwencji pewien wzrost indywidualnego dobrobytu, który, choć w nierównej mierze, odczułby i robotnik francuski. Partia, broniąca robotników świadomie prowadzi ich do walk strajkowych, choć wie, że francuska klasa robotnicza nie posiada dziś środków dostatecznych, by strajki wygrywać ostatecznie. Partia wymaga solidarności ze sprawą komunizmu światowego, przede wszystkim ze Związkiem Radzieckim, choć wie, że razi tym nacjonalistyczne refleksy społeczeństwa mieszczańskiego, naraża się na niepopularność, czasami nawet na niezrozumienie ze strony mniej uświadomionych klasowo środowisk robotniczych. Trzeba dużej dojrzałości ze strony przywódców i ze strony mas robotniczych, by taka postawa nie izolowała w rezultacie aktywu partyjnego od ogółu swej własnej klasy. W tych warunkach kierownicy partii komunistycznej muszą zdać bardzo trudny egzamin ze swych uzdolnień.

Społeczeństwo francuskie jest w całym swym przekroju wybitnie indywidualistyczne i racjonalistyczne. Marksizm, będący doktryną zwartą i wymagającą dużej karności napotyka na zasadnicze trudności w mentalności przeciętnego Francuza. Najlepsi marksiści francuscy Garaudy, Casanova czy Leduc, są w istocie jeszcze za mało marksistami w sensie jego obowiązującej ortodoksji.

Z drugiej strony komuniści napotkali we Francji, mimo zawodu uczynionego przez MRP, najmocniejszy w Europie nurt katolicko - postępowy. Roger Garaudy w swej ostatniej książce „L'Eglise, le communisme et les chretiens” próbował odważnie i szczerze się do problemu tego ustosunkować. Odkładając omówienie tego wy-

Francja A. D. 1949

naniem i... dla przykładu „Témoignage Chretien”.

Jeśli dla bardzo wielu komunizm we Francji jest niewątpliwie Wielką Nadzieją, dla wielu innych jest Upiorem, to dla wielu jeszcze innych jest on jeszcze w dalszym ciągu Wielką Niewiedomością. Stąd zainteresowanie ale też i stąd zaostrożony krytycyzm.

**

Obraz szerokiego wachlarza politycznego Francji współczesnej nie byłby całkowity, gdyby nie położyle szczególnego akcentu na jednym charakterystycznym zjawisku.

Tak czy inaczej nakreślone życie polityczne przestało być domeną wyłączną problematyki narodowej. Stanowi ona część nieodłączną, ale tylko część problematyki, gdy reszta wyraźnie wyryka się poza granice państw, ku wielkim i wspólnym problemom ludzkości. Wszystkie scharakteryzowane powyżej kierunki polityczne, jakkolwiek intymnie związane z francuską rzeczywistością, są nie tylko wyrazem międzynarodowej problematyki, lecz są świadomością czy też nie, narzędziem ideologicznym i politycznym determinowanym na międzynarodowej arenie. Dotyczy to w rzeczywistości w równym stopniu Partii Komunistycznej, jak i SFIO, MRP czy RPF.

„Wspólny wysiłek, stwierdza w swej pracy „Hommes de droite, hommes de gauche” Jan Labasse, solidarność klas czy kast, nabierają dopiero wówczas pełnych wartości, w świecie nieproporcjonalnie powiększonym przez techniczną rewolucję, gdy wniosą się na wyżyny światowe. Odtąd już tylko na miarę kuli ziemskiej mierzą się — potęga ekonomiczna, hegemonia polityczna, kierunki opinii czy osiągnięcia umysłu. Popierając wymagania postępu technicznego, rozwój kapitalizmu przyczynił się do zniszczenia, a co najmniej do uelastycznienia niektórych granic. Ze szkodą dla ludów pragnął on, dla własnych korzyści przybliżyć do siebie Państwa. Równolegle, ponad granicami ustawiali się ramię przy ramieniu ci, którzy postawili sobie zadanie poprowadzenia uciśnionych mas do wyzwoleniczej walki. Ze szkodą dla Państwa chciał socjalizm, dzięki tchnieniu rewolucji, zbliżyć do siebie ludy...”

„Właśnie ponieważ system kapitalistyczny podkopał tradycyjne podstawy życia społecznego, ciągnie dalej autor, dlatego, że polityką już nie jest gestia nad niektórymi tylko interesami Państwa ale ma sobą objąć wszystkie formy międzyludzkiej stosunków — to koncepcje światopoglądowe i filozofie inspirują politykę. Każdy naród, jeśli chodzi o jego przyszłość jest cząstką jakiejś światowej koniunktury, każda z partii, które nim kierują staje się, oryginalnie lub nie, sekcją jakiejś Międzynarodówki: socjalistycznej, chrześcijańskiego humanizmu, kapitalistycznej czy komunistycznej”.

Wojciech Kętrzyński

Czytajcie

„Słowo Powszechne”!

ETAP

włóclawka
miesięcznik

Karol Zajczniewski

ZADANIE NUMER JEDEN

Redakcja „Dzis i Jutro” nie podziela poglądów niżej drukowanego artykułu. W jednym z najbliższych numerów naszego tygodnika zamieścimy artykuł polemiczny, w którym damy stanowczą odprawę błędnemu, naszym zdaniem, tezom artykułu p. Zajczniewskiego.

Przy okazji przypominamy naszym czytelnikom, że w ogóle artykuły zamieszczane we włóclawce „Etap”, nie są wypowiedziami redakcyjnymi, a mają charakter głosów czytelników, bliskich nam często ideologicznie.

REDAKCJA

Określenie „katolik postępowy” budzi zwykle zastrzeżenia. Czyni się zarzut, że albo się jest członkiem Kościoła i wierzy w podawaną przezeń naukę, a zatem jest katolikiem albo też nie; wszelkie zaś przymiotniki, różnicujące katolików wewnątrz Kościoła są nie istotne i mylące, bo wszakże „katolicki” oznacza tyle co „powszechny”. Zarzut ten jest w zasadzie słuszny. Niemniej popularność, jaką to niewłaściwe określenie cie-

szy się w szerokich kręgach społeczeństwa każe się domyślać, że posiada ono odpowiednik w jakiejś specjalnej kategorii katolików i że w tym wypadku zróżnicowanie to jest w jakiś sposób uzasadnione. Nie polega ono jednak na różnicach w kwestiach wiary — nie jest herezją. „Katolikami postępowymi” w języku potocznym nazywa się tych katolików, którzy pozostając członkami Kościoła i uznając w pełni jego naukę są

równocześnie wyznawcami postępowych poglądów społecznych, czym różnią się często od większości społeczeństwa katolickiego.

Należy dodać, że kategoria „katolików postępowych” jest wytworem współczesnych warunków historycznych charakteryzujących się zamieraniem starego ustroju społeczno-gospodarczego i równo-
czesnym powstawaniem nowego.

Wstrząs bowiem walącego się starego świata, w którym Kościół spełniał swoją misję, objąć musiał również i światopogląd katolików, ukształtowany na poglądach starego świata. Cały zespół poglądów na kwestie doczesne, a w pierwszym rzędzie na ustrój społeczno-gospodarczy, wymaga dziś gruntownej rewizji. Należy co rychlej zastąpić zdeaktualizowane poglądy nowymi, które by były chrześcijańskie z ducha, a równocześnie wytrzymałyby technicznie nową epokę. Należy co rychlej uzupełnić wszystkie luki, niejasności i niedopowiedzenia, które z natury rzeczy wytworza w każdym światopoglądzie praca z zawrotną szybkością życia. Przełożyć wieczną i niezmienną naukę Chrystusa na język nowych czasów, tak jednak, by nic z niej w tym przekładzie nie uronić, dokończyć wielkiej syntezy ideałów nadchodzącej epoki z nadprzyrodzonym powołaniem człowieka — oto ogromne zadania katolików, nad które nie widzimy dziś ważniejszych. Uczestnictwo w budowaniu nowego świata, odpowiedzialność za jego kształt — wszystko to zależy od wykonania tych zadań.

Sprecyzujmy pojęcia. Światopogląd katolicki, który jest faktycznym, uwarunkowanym historycznie sposobem pojmowania przez katolika jego prawdy religijnej, nie utożsamiamy z pojęciem doktryny filozoficznej. Światopogląd jest nierozdzielnie związany z umysłowością człowieka, którego jest wytworem. Doktryna zaś jest systemem oderwanym, gdy opamięta jego umysłowość staje się światopoglądem człowieka. Mówiąc przeto o najważniejszym w chwili obecnej zadaniu rekonstrukcji światopoglądu katolickiego mamy na myśli nie tylko jego opracowanie jakiejś doktryny, ale i zaszczepienie jej w umysłowości mas katolickich.

Tak pojęta rekonstrukcja światopoglądu jest przeto ogromnym zadaniem, zakrojonym już nie na lata, ale na pokolenia. Zdajemy sobie sprawę, że światopogląd jest przecież samodzielnym, indywidualnym wytworem człowieka. Doktryna filozoficzna może mu być tylko pomocą, instrumentem porządkującym i hierarchizującym proces tworzenia. Zadaniem jej jest wyznaczyć granicę między tym, co w światopoglądzie katolickim winno być zmienne i historycznie uwarunkowane, a tym co

niezmienne i wieczne, ujawniać zagadnienia podświadome nurtujące masy katolickie i rozwiązywać je, rejestrować, porządkować i systematyzować te szczególne rozwiązania, a wreszcie dokonać ostatecznej syntezy nowo-
przyjętych wartości historycznych z wartościami wiecznymi. Dopiero taka synteza nadaje doktrynie definitywny kształt — kształt jednolitego systemu, podporządkowanego jednej zasadzie naczelnej. Wówczas dopiero dotychczasowa hierarchia zadań ulegć może zmianie: na plan pierwszy wysuwa się działalność praktyczna, zmierzająca do zaszczepienia doktryny w umysłowość mas, by w ten sposób dopomóc im w wytworzeniu światopoglądu i zmobilizować je do walki o ukształtowanie rzeczywistości zgodnie z tym światopoglądem. Należy dodać, że zadanie to będzie tym łatwiejsze im bardziej doktryna odpowiadać będzie nieświadomym potrzebom psychicznym mas.

Tak więc ustalenie hierarchii ważności między zadaniami teoretycznymi a praktycznymi wydaje się uzależnione przede wszystkim od aktualnego stadium rozwoju doktryny, od tego czy zdolna jest już spełnić funkcję instrumentu kształtowania światopoglądu mas. Do tego bowiem, by działać praktycznie i kształtować w jakiś sposób rzeczywistość niezbędnym wydaje się posiadanie pewnego światopoglądu, rozwiązującego w sposób jednolity całościowo kształt zagadnień praktycznych.

W jakim stadium znajduje się dziś nasza doktryna — doktryna „katolików postępowych” w Polsce?

Wspomnieliśmy już wyżej, że ostateczną krystalizację doktryny — jej syntezę — poprzedza zwykle proces zbierania i zestawiania rozwiązań szczegółowych — stadium eklektycyzmu. Nie będziemy chyba przesadzić, że nasza doktryna „katolików postępowych” nie wykracza dotychczas poza ramy eklektycyzmu. Dominującą w pracy teoretycznej metodą jest zapewnienie ujawnionych w światopoglądzie katolickim luk latami pożytycznymi z innego obozu. Łatwo jest w istocie sztucznie i mechanicznie rozgraniczyć w porządku doczesnym socjalizm, w porządku wiecznym katolicyzm. W istocie jednak przyjęcie każdego z tych systemów w jednym porządku pojęcia za sobą konsekwencje w drugim. Katolicyzm nie ogranicza się tylko do życia duszy, ale wkra-
cza swymi postulatami także na teren życia zbiorowego — obywatelstwa, prawodawstwa, ustroju społecznego. Z drugiej strony ustrój socjalistyczny, wychowujący pewien typ człowieka może w nim rozwijać lub zabijać dyspozycje

(dokończenie na str. 7)

Zofia Radziwiłł

Na udeptanej ziemi

Walka o inwestyturę

Był czas, kiedy potężny władca cesarz Narodu Niemieckiego kajał się w gorze pokutnym z pochwy od miecza u szyi przed wrotami Canossy, gdzie czekał nań łaskawie potężniejszy władca, Świętobliwy mnich, Ojciec narodów, papież.

Był czas, kiedy mądry Inocenty III kierował losami powstających państw. Juliusz II nie tylko budował najwspanialsze świątynie, ale wygrywał bitwy.

Kościół był instytucją wszechwładną, obejmującą całość życia: wychowywał, sądził, tworzył kulturę, krzewił ją, opanował naukę i sztukę. Był potęgą i obroną dla słabych, wzbudzał postrach i szacunek, niósł ze sobą dobrodziejstwa i dyscyplinę. — Przyznać trzeba niezawiesznie przebiegano w środkach, byle tylko przysporzyć mu ziemskiego blasku.

Nie ma tu miejsca, by przytaczać tu podobne momenty z dziejów Kościoła. Obiektywne fakty w historii starczy. Wystarczy dostatecznie wyraziły obraz, który każdemu z nas zbyt dobrze jest znany, by trzeba było jego znaczenie wyjaśniać — „Henryk IV u wrót Canossy”.

A dziś?

I tu nie warto wiele pisać. Zwyczajna, dostępna każdemu obserwacja współczesnego życia wystarczy. Zauważamy, stale postępujący proces laicyzacji życia codziennego. Stopniowo oddaje Kościół w ręce świeckie coraz to inne dziedziny życia. Można stwierdzić dziś: że katolicy emigrują z życia, w abstrakcyjne sfery dociekań. Katolicy głoszą hasła minimalizmu. „Co się stało z przenoszącą góry wolą zwycięstwa uczestników wypraw krzyżowych”? Taką częścią rezygnacji z środków doczesnych bywa czasem oceniana i czynnym uśmiechkiem, jako defensywa zamierzającej instytucji. „Kto przyznaje się więc do katolicyzmu wyznaje ideologię, która ginie.” — twierdzą sceptycy. Jeśli jest emocjonalnie, lub intelektualnie z nią związany należy do świata umarłych. Ogarnąć go w końcu musi rozpacz i zwątpienie.

Nie chcę tu zgłębiać historycznych przyczyn, ani zastanawiać się nad słusnością takich ocen sytuacji, wystarczy proste stwierdzenie: Moment historyczny, którym żyjemy narzuca taką refleksję, wielu katolików dziś ją przeżywa.

Bywają tacy, którzy zbyt szybko rezygnują z rozwiązania trudnego problemu. Poddają się pesymizmowi, który doprowadza ich do niewiary i odstepstwa od Kościoła, lub biernego poddania się losowi.

Inni, broniąc się przed pesymizmem podejmują dawny sztandar „walki o inwestyturę”, przypisując jednak tej walce o materialne środki zbyt wielkie znaczenie. Podyśca ich do walki dewiza: „być albo nie być”, zwycięstwo mate-

rialne wydaje im się jedyną gwarancją istnienia ideologii. (Napewno wiele tu przyczynia się fakt, iż wyniki nauki marksistowskiej, a również bardziej umiarkowane kierunki socjologii stwierdzają powiązania genetyczne między warunkami społeczno - ekonomicznymi a ideologią danego środowiska).

Są wreszcie i ci, którzy porwani mistycznym uniesieniem, proces uduchawienia i oderwania od spraw ziemskich przedstawiają sobie wyłącznie jako objaw postępu w procesie rozwojowym uczuć religijnych.

Słuszną będzie pewno jak zwykle jakiegoś stanowisko pośrednie, będące syntezą tych podstaw, uwzględniające poszczególne istotne elementy. Właśnie o to rozwiązanie jednak i logiczne uzasadnienie jest najtrudniej. Nie chodzi tu bowiem, jak już zaznaczyłam, ani o szczegółową analizę przemian zachodzących w Kościele na tle innych procesów historycznych, ani o psychologiczne uzasadnienie reakcji jednostek czy wytypowanie rozwiązań, ale ważnym jest to, jak wybrnąć z tego kryzysu światopoglądowego, jak rozświetlić to zagadnienie, którego niewłaściwa rozwiązanie prowadzi do bardzo rozmaite bezdroża.

Pierwszym warunkiem będzie wyrobienie w sobie postawy możliwie obiektywnej, która jedynie pozwoli rozgraniczyć, co jest istotnym faktem socjologicznym, a co jedynie emocjonalnym odruchem jednostki.

Istotnym także jest rozgraniczenie pojęć, czyli ustalenie terminologii jaką operujemy w tych rozważaniach.

Następnie należy zdać sobie sprawę z różnicy jaka istnieje między słowami: zmiana, rozwój, postęp. — Nie wartościujmy za wcześnie! Lepiej będzie, gdy w tym wypadku zatrzymamy się na stwierdzeniu zmiany, zamiast zbyt pochopnie przypisać jej cechy postępu, lub cofnięcia się, albo co gorzej upadku.

Poza tym wiele wyjaśnić może uwaga: że podając charakterystyczne cechy danego okresu nie powinniśmy zapominać, że najczęściej jest on jako całość nie tylko przeciwieństwem, ale nową syntezą poprzednich okresów, produktem tych wszystkich czynników, które istniały przez przeciąg dziejów.

Najlepiej zaś będzie, gdy sięgniemy do źródeł, gdy rozpatrzymy zagadnienie od strony doktryny katolickiej zawartej wprost w głębokich słowach Ewangelii.

Otóż stosując podane powyżej zastrzeżenia dojdziemy do następujących wniosków:

Pojęcie Kościoła jako instytucji społeczno - prawnej nie pokrywa się z pojęciem Kościoła, które jest w myśl doktryny mistycznym ciałem Chrystusa. Stąd zanik politycznego znaczenia Kościoła nie warunkuje słabnięcia jego w

tamtym znaczeniu. Zmiana środków od działalności nie podważa ideologii, ale wykazuje jej żywotność.

Doktryna katolicka nie obawia się rzetelnej wiedzy, z zaufaniem pozwala na przekazywanie każdej nowej prawdy z pod skrzydeł wiary, w rozszerzające się ramiona nauki. To jest właśnie jednym ze zjawisk, które z czystym sumieniem można uznać za objaw postępu. Tu ważne jest tylko jedno zastrzeżenie: Nie można zaśniegu wiary i nauki mierzyć tą samą miarą „centymetrem” (jak to się nieraz naiwnie robi), nasuwa się bowiem wtedy niepokojące pytanie: — skoro oddajemy „po centymetrze”, cóż z tej długości zostanie dla wiary? — nonsens — wiara to akt wiary i woli — w miarę rozszerzania się wiedzy wymaga coraz to większego wysiłku woli, coraz to więcej wiary i głębszego zrozumienia jej potrzeby.

Najistotniejsze są jednak wnioski wypływające z samej doktryny katolickiej: „Królestwo moje nie jest z tego świata, ale w was jest...” Zwycięstwo nasze mierzy się więc tylko łączną sumą dobra niczym więcej. Dokonywać się w duszach poszczególnych ludzi. Stąd nie wiemy kiedy zwyciężymy jako cała grupa społeczna. Tym większa odpowiedzialność za własny odcinek walki. Jesteśmy Kościołem walującym a nie zwyciężającym. — Jakże blisko jesteśmy w tym miejscu najistotniejszej problematyki katolicyzmu — problematyki świętości. — Czyż więc walka rozgrywa się tylko na terenie własnej duszy? Nie, wprost przeciwnie: mamy obowiązek walki o wszelkie środki materialne ułatwiające szerzenie wyznawanej ideologii, oczywiście metodami zgodnymi z tą ideologią; musimy podejmować materialne zadania, starając się o uzewnętrznienie naszych przekonań, ale jeśli przegramy na tym odcinku nie znaczy to, żeśmy istotnie przegrali, jeśli przegramy jako działalność ludzka nie znaczy to, że Bóg przegrał w ludziach, co jest jedyną prawdziwą klęską dla katolika. Taka hierarchia wartości musi być zachowana.

Zbliżyliśmy się do sedna sprawy. Powyższe rozważania pozwalają nam odpowiedzieć sobie na zagadnienia, które narzuca nam historia. Powoli krystalizuje się stanowisko życiowe jakie powinniśmy zająć w tej sytuacji.

Nie wolno nam poddawać się nierozsądnej depresji płynącej z płytkiego rozumienia katolicyzmu. Trzeba walczyć wszystkimi dopuszczalnymi ludzkimi środkami nie dla zwycięstwa materialnego, ale dla rozszerzenia zwycięskiej miłości w ludziach, w moc działającą której i poza środkami materialnymi musimy stale wierzyć.

Mamy więc zawsze prawo do optymizmu, nawet w chwili kiedy wiara musi być coraz głębsza.

Zofia Radziwiłł

religijne. Eklektyczne sztukowanie tych dwu systemów jest w istocie rozwiązaniem tylko pozornym, najeżonym tysiącem niejasności i sprzeczności. Jak zniesienie własności prywatnej pogodzić z chrześcijańską filozofią, która widzi w niej prawo naturalne i gwarant wolności? Albo ideę walki klas — która jest przeciwieństwem do socjalizmu — z katolickim uniwersalizmem? Jak sprawić, by kołektynny styl życia nie godził w personalistyczny ideał rozwoju pojedynczej osobowości? Oto przykładowe kontradycje, które można by mnożyć jeszcze dłużej. Rozwiązując je katolicy teoretycy „postępowi” nie posługują się jakimś jednym zespołem założeń, ale sięgają w sposób kazuistyczny albo do marksizmu albo do rozwiązań katolickich poprzedników, które są również zresztą zróżnicowanym. Zestawmy teraz zwracając, monolitową teorię marksizmu, o której z dumą pisał Lenin, że jest wykuta z jednej bryły stali, z taką właśnie eklektyczną doktryną, pełną niejasności i sprzeczności wewnętrznych. Nie będziemy chyba mieli złudzeń, która ma więcej szans by zaważać umysłowością mas i nadać przez nie kształt nowemu światu.

Zanim pójdę dalej pragnę się zastrzec przed nieporozumieniem. Nie jestem bynajmniej przeciwny przyjęciu pewnych treści socjalistycznych. Przeciwnie — uważam to za tendencję wspaniałomyślności i słuszną. Nowe treści muszą być jednak organicznie a nie mechanicznie włączone w system i poddane jego naczelnyemu założeniu. Nie chciałbym też być pomawiany o depresjonowanie wyniku eklektycznych jak dotąd katolickich teoretyków „postępowych”. Czuję do nich szacunek jako do pionierów nowych myśli, a działalność ich uważam za całkowicie słuszną, jako torującą drogę przyszłej syntezy, pod warunkiem jednak, że nie zechcą uznawać swych obecnych wyników za ostatnie słowo w danej dziedzinie. Kryształizacja doktryny nie może bowiem utknąć na fazie eklektycznych rozwiązań. Stąd nasza niechęć do przyjmowania ich za niewzruszone założenia, stąd nasz krytycyzm. W istocie chodzi przecież o coś więcej niż o eklektyczną miksturę. Chrześcijaństwo od czasów renesansu — dziś potężniej niż kiedykolwiek — woła o nową wielką syntezę, która wprowadziłaby wreszcie porządek i hierarchię w dezintegrację pojęć wywołaną rozwojem nauk przyrodniczych i filozofii antropocentrycznej; o nową „sumę” św. Tomasza, która ukazała by drogi rozwoju świata nowoczesnego w aspekcie wiecznego powołania człowieka. To jej brak tkwił u podstaw inercji katolicyzmu nowożytnego. Mamy często za złe społeczeństwu katolickim ich instyktowne oglądanie się na ideały średniowiecza. Ale czy zda jemy sobie sprawę, że u korzeni tego zjawiska leży nieświadomość na tęsknota za porządkującą i hierarchizującą wszystko syntezą, za ową „jednością maksymalną, organiczną”, której brak tak się dał we znaki wiekom nowym?

Prawdy te nie są jeszcze należycie uświadomiane w kołach „katolików postępowych”. Hierarchia zadań, stojących przed nami, częściej jest pojmowana na opak. Często zapominamy, że doktryna nasza jest jeszcze daleka swojej ostatecznej kryształizacji, a tym samym chuda, gdy praca teoretyczna będzie mogła zejść w hierarchii ważności na plan dalszy, wydać się jeszcze odległą. Warto to powtarzać jak najczęściej tym zwłaszcza kołom młodokatolic

kim, które cierpią na przerosty aktywizmu — na „hurraaktywizm”. Objawia się on niechęcią do „ideologizowania” i prymitywną tęsknotą za wyżyciem się w działalności praktycznej — przewszystkim społeczno-politycznej. Stanowisko tych młodych ludzi da się wytłumaczyć, aczkolwiek nie wolno go usprawiedliwiać.

Ich postawa jest w istocie buntem — buntem przeciw długotrwałości i złożoności procesu syntezy. Stąd ich pośpieszne deklaracje, które stają się dla nich jedynym punktem oparcia w chaosie zwątpienia i krytycyzmu, stąd pragnienie intensywnego działania, przez które zagłuszyły chcą wszelkie wątpliwości i niepokoje, trapiące ich w okresie katechumenatu. Działanie jest dla nich pewną formą kompensaty. Działalność praktyczna jest w ogóle — jako dająca szybsze rezultaty — bardziej pociągająca w oczach młodzieży niż długotrwała praca intelektualna, inwestująca wysiłek na dłuższą metę i nie pozwalająca często oglądać jego owoców. Postawa bezczynnego intelektualisty w momencie, gdy świat aż drży od dynamiki tworzących się nowych form, niecierpliwych i męczących. Dlatego rzucają hasła aktywizmu. Stąd też ich gwałtowne ataki przeciw wszystkim, którzy nie chcą się deklarować w tempie równie szybkim. Spragnieni natchmiastowego działania i szukający założeń, które mogłyby się stać dla niego punktem wyjścia traktują tworzące się dopiero eklektyczną jeszcze doktrynę jako niepodlegający dyskusji aksjomat. Na tym tle zaznacza się właśnie między nami tak wielka rozbieżność poglądów. Nasz krytycyzm wątpliwości i zastrzeżenia biorą wyraz braku konsekwencji i zdecydowania. Nasz zwrot do nauki i filozofii — za ucieczką od rzeczywistości, jakby nauka nie była jedyną drogą jej poznania. Stąd też ich niechęć do postulowania przez nas postawy „dobrej woli”, wyrażającej się gotowością do szukania pozytywów w każdorazowym przeciwniku, zarzucają, że taka postawa relatywizuje ich założenia, którym chcieliby nadać walor prawdy absolutnej.

Nie ma przy tym większego nieporozumienia jak ulubione powoływanie się tych ludzi na wzór Lenina jako uosobienie tak milego ich sercu aktywizmu. Przeczoła ją przy tym jakiś ten ogrom trudu, który włożył Lenin w ciągu swego życia w rozwinięcie i uzupełnienie teorii Marksa i Engelsa oraz w walkę z filozoficznymi przeciwnikami, nierazko właśnie o subtelności logiczne, teoriopoznawcze czy przyrodnicze. Zapominają też, że olbrzymia energia Lenina podporządkowana była sprawie realizacji światopoglądu, obejmującego całość kształt zagadnień bytu. Jego działalność wynikała z jasnej świadomości celu, z uporządkowania pojęć i ustalenia hierarchii wartości, czym niewiele młodych katolików mogłoby się dzisiaj pochwalić. Nasz katolicki nurt „postępowy” — jeżeli ma myśleć już trzymać tej analogii — znajduje się raczej w położeniu młodego Marksa sprzed „Manifestu Komunistycznego” niż w położeniu Lenina. Może i wówczas jacyś socjalistyczni „hurraaktywiści” radzili Marksovi, żeby zamiast ślezczyć po bibliotekach pluwał na filozofię i zabrał się z nimi do pracy organizacyjnej. Czy lepiej przysłużyłby się sprawie komunizmu gdyby skorzystał z tych rad? Śmiem wątpić.

Stanowisko nasze nie wynika z jakiejś odmienności temperamentu, dzięki której aktywizm nie

pociąga nas. I nas kusi on swoim urzekającym powabem, i my otarliśmy się w ciągu naszego katechumenatu o jego pozycję. Stanowisko nasze dyktuje nam chłodny rozsadek. On każe nam trwać w przekonaniu, że najskuteczniej zbliżamy się do działalności praktycznej gdy propagujemy pracę teoretyczną.

Cóż więc robić?

Nasz program wydaje się jasny.

Istnieje w chwili obecnej jeden kierunek filozoficzny, który sięgnął już stadium syntezy, a który swoim uniwersalizmem i zwartością systemu jedynie jest godny tradycji „Summy”: jest to huma-

nizm integralny Maritaina. Jest to kierunek wyrosły z gleby tomizmu i stanowiący niejako jego owoc dojrzały w XX wieku. Jego teocentryzm z równoczesną autonomią osoby ludzkiej, jego supremacją celu nadprzyrodzonego z równoczesną autonomią życia społeczno-politycznego, wreszcie jego świecki ideał chrześcijański ustroju doczesnego, zawierający doskonałą i wszechstronną syntezę tendencji nowoczesnych z wiecznym duchem chrześcijaństwa — oto systematyczna podbudowa filozoficzna, której brak całej naszej doktrynie. Nie znaczy to bynajmniej, by miał to być jakiś system zamknięty już i spe-

stryfikowany, sam Maritain zastrzega, że w szeregu kwestii szczegółowych może się mylić. Humanizm integralny jest tylko ogólnym szkieletem, którego ramy mogą być wypełnione pracą innych i podlegać modyfikacjom z uwagą na czas i miejsce. Jest wreszcie pewnym zespołem przesłanek, w oparciu o które można podejmować rozwiązywanie zagadnień szczegółowych, a dzięki którym rozwiązania układają się będą w pewien jednolity system. Co więcej — dopiero zgodność przedsięwzięć, naszych opracowań teoretycznych i praktycznych daje im pełną gwarancję katolickości, ustrzeżoną przed nieświadomością i błędem.

Karol Zajczewski

List do działaczki społecznej

Droga Teofilo.

Mój nagły wyjazd przerwał nasze rozmowy. Chcę jednak do nich wrócić. Do tego zwłaszcza momentu, w którym stanowczo orzekłaś: „Ja nie kontempluję, ale dopracowuję się prawdy. W konkretnym, społecznym działaniu. — To co mówisz o „precyzowaniu się”, „skupianiu”, „filozofii” itp. — to jest oderwanie od życia, społeczne wnikanie w siebie. Nie. Nie pozwala mi na to poczucie odpowiedzialności społecznej”

A przecież, Teofilo, to napewno nie różnica postaw dyktuje nam te konsekwentne wypowiedzi. Przypomnij sobie nasze dyskusje z Zygmuntem. Twierdził on, że szuka prawdy absolutnej. Zapytany, co by zrobił gdyby warunkiem dojścia do niej było np. mordowanie ludzi słabszych, odparł bez wahania „ależ naturalnie tak bym postępował”.

Reakcje nasze były identyczne. Ty je wypowiedziałas (jak zwykle) w uniesieniu: dla mnie człowiek nigdy nie będzie środkiem, warunkiem dojścia do prawdy, ale celem, ostatecznym celem. Bo prawdą w moim pojęciu może być tylko to co służy człowiekowi”.

Dalej przypomnij sobie, jak wspólnie i podobnie przeżywalimy konflikty społeczne. Wtedy to, że świadomości potrzeb społecznych powstała Twoja etyka skutku. I wtedy nasze założenia pozostały wspólne: — najskuteczniejsza pomoc ludziom, a przez to dojście do Prawdy. Tylko, że Ty szukasz skutku zbyt bezpośredniego, natchmiastowego. Dlatego dziś realizujesz swą postawę tak intensywnie, że zaniedbujesz wykształcenie ogólne, zdrowie i już nawet czytać czy myśleć nie masz czasu.

Tak więc Teofilo — istota naszego sporu dotyczy nie założeń, ale sposobu ich realizacji. Skuteczności. Właśnie skuteczności, trafności, a więc odpowie działalności społecznej — jak to sama zresztą określiłaś.

Twierdzisz więc z satysfakcją, iż posiadasz już zamkniętą ideologię społeczną, którą Ci da ostatecznie rozwiązanie. Reakcją więc dopracowujesz się prawdy.

Odtąd zaczyna się nasz spór. Twoje stwierdzenie stawiam Ci jako zarzut — zarzut ograniczenia zakresu poznania. Zaraz Ci wytłumaczę. Chcę się przedtem tylko upewnić, czy zgadzasz się, że tylko prawdziwe poznanie rzeczywistości ci warunkuje bez reszty skuteczność po mocy.

Chodzi mi o to, żebyś Ty zwrócona nawet do jednej tylko grupy dostrzegła w jej obrębie wszystkie potrzeby ludzkie.

Dostrzeganie tych potrzeb rozpoczęłaś już jako dziecko — wtedy naprzykład, kiedy zauważyłaś, że brakuje, który był głodny. W miarę dojrzywania powinnaś odczuwać te potrzeby coraz subtelniej — nawet te niematerialne ukryte dla poznania zmysłowego.

Z biernym wnioskiem, który wysnułaś z faktu istnienia potrzebujących rozpoczął się w Tobie proces ogarniania prawdy. (Mógł to być zresztą wniosek wielce nieporadny i ważny np. żeby zebrać parę groszy na bułkę, to nie będzie głodny). Proces ten, proces ogarniania prawdy drogą poznawania ludzkich potrzeb, narastał kręgamiz. Każde poznanie nowej potrzeby, której rozwiązanie nie mieściło się już w dotychczasowych sposobach, było przejściem do następnego kręgu poznania i w konsekwencji światopoglądu. Konsekwentne i dogłębne poznanie potrzeb ludzkich postawi ci wobec spraw tak głęboko ludzkich, że ponadczasowych i ponadustrojowych. Tak Teofilo, istnieją i takie. I nie sięgają w ich najdoskońalsze rozwiązania społeczne czy ekonomiczne, bo nie mieści się w nich pełny człowiek. I to stwierdzenie jest także empirią.

Pamiętasz niedawno śmierć Anny, ko biety, której całe życie było jednym splotem nieszczęść, wyrzeczeniem siebie i poświęceniem rodzinie. Umarła nie otrzymawszy tu na ziemi żadnego uczynienia

Bo i nie mogła otrzymać. W najdoskońalszych domach dla starców w Szwecji ludzie czują się opuszczeni i osamotnieni, bo nawet komfortowe urządzenia domu, jedzenie, praca i wszystkie dostępne rozrywki nie mogą zaspokoić całości potrzeb człowieka.

I kiedy my, wobec tych niezawinionych i niezadośćuczynionych, najbardziej osobistych krzywd ludzkich, stajemy ze swoimi rozwiązaniami społecznymi i ekonomicznymi bezradni i zalamani, wkracza mimo nas Bóg i staje się spokojem i pociechą.

Stwierdzeniem więc, że ma się receptę ostateczną albo przyznanie, że nie rozwiązane problemy istnieją, ale są mniej ważne, jest niepokojącym świadectwem utknięcia w którymś kręgu ogarniania prawdy.

I dlatego Teofilo, zarzucając Ci ograniczenie poznawania jej, zarzucam Ci jednocześnie, że działanie Twoje nie osiąga zamierzonego skutku.

Warunkiem dojścia do prawdy drogą konsekwentnego i wnikliwego poznawania potrzeb ludzkich jest oddanie się tym sprawom z niesłychanym wyczuleniem i uwrażliwieniem. A coż może stać się tej bezustannie czujności lepszą rekojmia, jak nie głębokie skupie-

nie, które Ty określiłaś jako „społeczne wnikanie w siebie”. Skupienia, jako kontemplacja, to znaczy rozważanie, poznanie, świadomość... O niej to pisał kardynał Suhard, że w nierozłącznym związku z apostołstwem powinna mieć faktycznie pierwszeństwo, decydować o działaniu. A poza tym Teofilo, jestem przekonana, że wewnętrznie przygotowana nie zarówno intelektualnie jak moralnie do działalności jest najlepszą miarą Twoich intencji i szacunku dla spraw, którym chcesz dać rozwiązanie.

Poczucie znikomości własnych środków i szacunek dla ogromu potrzeb ludzkich obowiązują do działania najskuteczniejszego. Chcesz, żeby żaden Twój czyn nie chybił celu. Boisz się marnotrawstwa energii. Musisz więc widzieć go umotywowanym jasno i logicznie. Wynikającym z Twoich planów. Droga do filozofii a właściwie do jakiejś metafizyki staje się taka prosta — daje Ci ona ostateczne wyjaśnienie sensu istnienia, sensu i celu Twojego działania, pojęcia istoty człowieka. Ona tylko może dać Ci świadome ustosunkowanie do wszystkich spraw. Jest najważniejszym warunkiem wszelkiego odpowiedzialnego i uczciwego działania społecznego. W wypadku przeciwnym działanie może stać się tylko zaspokojeniem własnych impulsów.

Nieświadomość, czy umiętność wyprzedzenia sensu własnego działania z filozoficznych założeń zespołu, w którym tkwisz, jest nieodpowiedzialnością społeczną. Świadomość a wewnętrzna niezgodność z nimi byłaby już nieuczciwością...

Stanowisko nieświadomości w bardziej jaskrawej formie sprowadzać się może do postawy, którą nazywam chorobą bezdusznego czynu. Czy wiesz jakie są jej objawy? Delikwent działa za cenę samego działania. Nie rozróżnia często co w jego działalności jest środkiem, a co celem, co założeniem, a co posunięciem taktycznym. A zajmowaną postawą światopoglądową zgłębia dopiero wtedy, gdy jest zmuszony przez przeciwnych. Kontemplacje jako poznanie, rozważenie — musi być nadrzędna nad czynem.

Nic już nie dodam do mojego listu. Może wydać się suchy. Chciałam być rzeczową. Wydaje mi się to najrozsądniejszą formą troski o osoby bliskie. Poza tym oczekuję Twojej odpowiedzi. Pozdrawiam Cię serdecznie.

Twoja Danuta Z.

Popierajcie

**Katolicki Uniwersytet
Lubelski**

Kazimierz Wołkowicz

FILM KATOLICKI

Zagadnienie filmu katolickiego i religijnego pasjonowało realizatorów od zarania sztuki filmowej.

W r. 1899, tzn. w cztery lata po pierwszej historycznej projekcji braci Lumierow, Georges Melies, jako jeden z pierwszych tematów zrealizował „Chrystus chodzi po morzu”. Następnie znany podówczas reż. Zeccha nakręcił „Mękę Chrystusa” i „Życie Jezusa”.

Niewątpliwie, filmy te były prymitywami technicznymi i artystycznymi, jednak dzięki swej tematyce ściągały tłumy widzów żądnych bynajmniej nie sensacji lecz głębszych przeżyć duchowych.

W pierwszych latach powstawania sztuki filmowej podnosiły się głosy niektórych katolików potępiające film jako niezgodny z prawami boskimi lub traktujący go jako „diabelski wynalazek”. W głosach tych przebiegał nie tylko może sui generis konserwatyzm — lecz raczej obawa, że wskutek nieumiejętnego czy zbyt mało przenikniętego duchem Pisma Świętego realizatora może zaistnieć wypadek błędny dogmatyczny, bądź nawet nieświadomego bluźnierstwa. Obawy te skądinąd można usprawiedliwić niskim poziomem sztuki filmowej oraz ogólną opinią, traktującą nowonarodzony film jako jarmarcznią rozrywkę.

Nie od rzeczy będzie zanotować fakt, że nie brakowało głosów twierdzących, iż film wręcz odrywa myśli ludzkie od Boga.

Inni znów twierdzili, że film jako rozrywka pożyteczna może być tylko dla wybranych, tzn. wiernych o ostatecznie ustabilizowanym światopoglądzie katolickim.

Opinie te były do tego stopnia przekonujące, że Kościół Katolicki uznał za stosowne wstrzymać się od wypowiedzi na ten temat, bacznie jednak obserwując drogi i metody rozwojowe jak również oddziaływanie nowego wynalazku na wiernych. Rezerwa ta była słuszną — a nawet konieczną — gdyż jak podkreślałam, angażowanie autorytetu wiary i Kościoła w tak jeszcze niedojrzałą pod każdym względem sztukę, byłoby lekkomyślnością, mogącą spowodować nieobliczalne wręcz skutki.

Jednakże, gdy filmowe przedstawienia poczęły stawać się kulturalną rozrywką i punktem zainteresowania coraz to szerszych mas, kiedy do filmu zaczęły nareszcie napływać artyści twórcy, Kościół wychodząc z założenia, że każdy wynalazek odpowiednio użyty dla dobra ludzi jest odkryciem praw boskich danych naturze dla dobra i uszlachetnienia człowieka, zainteresował się aktywnie działalnością i rozwojem filmu.

Encyklika Ojca św. Piusa XI „Vigilanti Cura” — ostatecznie położyła kres zróżnicowaniu poglądów na udział katolików w twórczości filmowej, uznając i pochwalając film jako jeszcze jeden sposób umoralnienia człowieka, konfirmacji religijnej oraz propagatora i nauczyciela Prawdy, Piękna i Cnoty.

PROBLEMY TWÓRCZOŚCI

Problem filmowej twórczości katolickiej nie jest bynajmniej prosty.

Na dobry film katolicki składa się wiele czynników, które bynajmniej nie są konieczne przy realizacji filmów rozrywkowych. Film katolicki — jak każdy inny przemawia do mas. Masy te nie zawsze są kato-

lickie. A więc przemawia do ludzi różnych wyznań religijnych, a nawet niewierzących. Tu tkwi pierwsze niebezpieczeństwo. A dalej: scenariusz musi być napisany nie tylko przez katolika wierzącego, ale katolika erudytę w sprawach wiary a zwłaszcza moralności i dogmatyki. Znalazienie takiego scenarzysty bynajmniej nie jest łatwe.

Koncepcja dramatyczna jest w filmie katolickim niezwykle delikatna. I autor i reżyser muszą baczyć, aby idea przewodnia nie narzucała się widzowi brutalnie przy pomocy epizodów czy faktów, lecz by ta „Myśl Boska i jej sens” konsekwentnie z nich wypływała, manifestując się jedynie efektem końcowym konfliktów. Nic dziwnego. Praktyki religijne mogą otaczać się niezwykle ilością sytuacji dramatycznych, lecz prawdziwy zew Stwórcy skierowany ku duszy ludzkiej bynajmniej nie jest łatwym do odtworzenia w dziele filmowym i przetłumaczalnym na język dramatu. Jest to problem najbardziej tajemniczy i najtrudniejszy do opisanego filmowego.

Przesada i egzaltacja jest szczególnie niebezpieczna w samej konstrukcji dramatu. Dramat filmowy ukazujący „działanie głosu Stwórcy” za pomocą jakichś epizodów niecodziennych, wyegzaltowany zarówno dodatnio jak ujemnie, będzie dramatem szkodliwym, w najlepszym razie sentymentalną pływizną. Autorzy filmu muszą starać się właśnie, pokazując w swym dziele zwykłe konflikty ludzkie w życiu codziennym, ludzkie klęski i rozterki, wydobyć z nich ten głęboki nieustający ukryty strumień Łaski, która wspiera człowieka i uszlachetnia jego duszę w życiowej walce i doprowadza do zwycięstwa w sposób najbardziej naturalny.

O ile scenariusz już zostanie napisany, wyłania się kwestia doboru odpowiedniego reżysera. Wymagania pod tym względem są bardzo wysokie. Niezależnie od zdolności artystycznych i rzemieślniczych, pierwszorzędą rolę odgrywa postawa życiowa i morale samego twórcy filmu. Emanacja filmu na publiczność jest niezwykle subtelna, a nawet wyrafinowana. Nie będzie przesadą powiedzieć, że w obrazie filmowym odczuwa się ducha jego realizatora. Przejawić on może się w najdrobniejszym epizodzie i może zarówno obniżyć i zniekształcić, jak podnieść ideowo dzieło filmowe na najwyższy poziom. Przygotowania do realizacji filmu nie będą zwykłą pracą poprzedzającą każdy inny rodzaj filmu. Film katolicki, aby przemówił właściwie swym tak zawsze szczerym, żywym językiem, wymaga po prostu głębokich kontemplacji ekipy nad tematem. Nazwać to można pewnego rodzaju rekolekcjami. Cały zespół realizatorski staje się z normalnie aktywnych katolików sui generis „zakonnikami”. Może to wydać się przesadą, ale jedynie dla ludzi, którzy nie są w stanie docenić tych niezwykłych subtelności, jakie kryją w sobie proste słowa Pisma Świętego, które zawsze muszą być kanwą i fundamentem moralnym każdego filmu o problemie katolickim i religijnym.

Gdy wreszcie zespół jest już odpowiednio przygotowany, następuje niemniej delikatna sprawa obsady aktorskiej. I to bodaj jest najtrudniejsze. Reżyser musi dobrać poszczególne aktorów, a nawet epizodistów nie tylko według normalnych kryteriów artystycznych, lecz również moralnych. Wartości arty-

styczne muszą całkowicie dorównywać wartościom moralnym interpretatora. Aktor i reżyser musi bezustannie strzec się, aby nie wpaść w egzaltację lub nawet zwykłą przesadę. Szczególnie aktor ze wszech sił musi opierać się pokusie objawienia brutalnie i realistycznie publiczności tych ukrytych akcentów moralnych dzieła. Musi walczyć z rekwizytami produkcji filmowej, jak nastrojowa dekoracja sceny, wzruszający podkład muzyczny organów. Te rekwizyty wręcz przeciwnie, zamiast mu pomagać w działaniu na ducha widzów, spowodują katastrofę dzieła, o ile interpretator nie wyczerpie na publiczność swego wewnętrznego stanu ascezy.

I to ostatnie jest najczęściej spotykanym błędem filmów o tematyce pracy realizatora filmowego nad filmem religijnym niezwykle ważnym jest moment sumienia. Nie wolno bowiem zapominać, że film w kraju kapitalistycznym jest przede wszystkim produktem przemysłowym, a jako taki narzuca twórcom swe bezlitosne prawa ekonomiczne. Realizator z natury rzeczy zmuszony jest oscylować między interesem producenta, a wartością artystyczną dzieła.

Przystępując do pracy nad filmem realizator musi niezwykle czule reagować właśnie na nakazy sumienia. Musi zrobić pewnego rodzaju próbę samoprzeniknięcia — obliczyć i zdać sobie sprawę z elementów, które mu mogą utrudnić lub też w pewnym sensie skusić łatwizną realizowanie dzieła o subtelnej koncepcji katolickiej. Postawa jego musi być stanowcza i bezkompromisowa. Bezkompromisowość tę ujawni w wyborze tematu, w konstrukcji dramatycznej, w konfliktach, charakterach bohaterów filmu. Gdy te zasadnicze punkty zmuntuje i nawet w razie potrzeby obroni — momenty ekspresji, artystycznej wypłyną samoczynnie.

Kilka powyższych uwag pozwala nam w zarysie uzmysłowić sobie jak wiele trudności i jak trudne wymagania stawia przed realizatorem i ekipą dzieło filmowe, które można by następnie bez zastrzeżeń uznać jako film katolicki. Dodać jeszcze tylko należałoby — że dzieło realizatora bez konsultacji biegłego w sprawach katolickich, a zwłaszcza dogmatycznych, duchownego może przy najlepszej woli wykonawców ostatecznie okazać się najdoskonalszą herezją.

Po tej pierwszej części ogólnej postaramy się zorientować jak obecnie przedstawia się sprawa filmów katolickich na świecie.

Tematyka religijna katolicka ożywia i podnieca wyobraźnię twórców filmowych. Czynniki katolickie doceniając wpływ sztuki filmowej oraz jej możliwości, stworzyły „Międzynarodowe Biuro Filmu Katolickiego” (C. I. O. C.), w skład którego wchodzi najwybitniejsi katolicycy działacze kulturalni oświatowi całego świata. Jednym z głównych zadań tego biura jest informowanie drogą recenzji widzów katolickich o produkowanych bądź wyświetlanych filmach z punktu widzenia etyki i estetyki katolickiej.

Dla upowszechnienia tych wiadomości powstało cały szereg kinoklubów, zwłaszcza przy uczelniach i parafiach, w których odczytami, wykładami czy prelekcjami kształci się uświadomionego katolicko widza.

Biuro wydaje własny kwartalnik zajmujący się omawianiem aktualnych zagadnień filmowych, zarówno teoretycznych jak praktycznych,

specjalny dział jest poświęcony filmom dla dzieci i młodzieży oraz wypowiedziom czynników miarodajnych w sprawach wiary na temat powstających problemów w sztuce filmowej. Biuro prowadzi równoległą akcję również za pomocą radia, prasy codziennej i telewizji. Komitety krajowe organizują co dwa lata festiwale filmów katolickich bądź zalecanych. Festiwale te nie mają tak jak np. wenecki czy canneński, charakteru handlowego, a raczej badawczo-etyczny.

Biuro również czuwa nad produkcjami filmów pretendujących do miana katolickich, a nawet chrześcijańskich. Fakt, że tego rodzaju opieka istnieje, zwraca znowu naszą uwagę w stronę aktualnej produkcji filmowej.

Najwybitniejszymi filmami ostatnich pięciu lat są niewątpliwie: „Pieśń o Bernadecie”, „Jeanne d'Arc” (oba amerykańskie) i „Monsieur Vincent” (francuski). „Jeanne d'Arc” — film o niewątpliwych wartościach malarskich, był superwizowany przez O. Doncaeur. Czuwał on nie tylko nad całością koncepcji i wykonania, lecz specjalnie nad interpretacją aktorską. Ingrid Bergman, odtwórczyni roli tytułowej, wywiązała się inteligentnie i z dużym wyczuciem sensu dramatycznego ze swego zadania. Dekoracje, kostiumy, barwy, tłumy statystów, wspaniałe sceny zbiorowe i batalistyczne, wszystko to powinno było się złożyć na film idealny. I tu nastąpiła niespodzianka. Film okazał się martwym — bez życia i duszy. Jak pisze znany filmolog Robert Speigh: „Film, świetnie skonstruowany, świetnie interpretowany i zagrany, był tylko czcigodnym trupem”. Dlaczego tak się stało? Ponieważ brak było w nim wysiłku wyobraźni twórców, koniecznego do przeniknięcia istoty świętości. Dla zapelnienia tej duchowej luki nie wystarczy „złoto i przepych amerykańskiego „Technicoloru” — przeciwnie, technika obrazu jeszcze bardziej odstania pustkę duchową dzieła”. Również w „Pieśni o Bernadecie” nie czujemy tego koniecznego powiewu nadnaturalności. W rezultacie oba te filmy jest niemożliwością uznać mimo tematyki — za istotnie katolickie.

Przeciwieństwem ich jest francuski film „Monsieur Vincent”. Nie od rzeczy będzie zauważyć, że koszt jego produkcji nie wyniósł nawet jednej czwartej kosztów każdego z wyżej wymienionych. Stroną jednak materialną, jak się okazało, nie miała żadnego wpływu na wartość dzieła.

W filmie „Monsieur Vincent” cały ciężar odpowiedzialności za końcowy wynik katolicko-artystyczny spoczywał na barkach głównego interpretatora postaci św. Vincentego a Paulo — znanego aktora francuskiego Pierre Fresnaya. „Przed tą kreacją — piszą krytycy — można tylko ugiąć w zachwycie kolana”. „Jest to prawdziwa tajemnica i cud interpretacji. Nie mamy pojęcia, w jaki sposób p. Fresnay ją posiadał, możemy tylko stwierdzić, że jest to cud oczywisty”. Tak piszą krytycy katolicy. Świętość stanęła przed nami ze swym boskim tchnieniem nieporównanym. Cuda zdarzają się niezmiernie rzadko, lecz jeśli ich nie możemy osiągnąć w filmie religijnym — pocóż produkować takie dzieła?

Słowa te mają dwojakie znaczenie. Są najwyższą pochwałą filmu francuskiego i łagodnym, ale stanowczym potępieniem dwóch pozostałych. Gra aktorska Pierre Fresnaya

jest osiągnięciem zupełnie wyjątkowym. Jest również rezultatem nie tylko jego geniusza artystycznego, ale dogłębnej intensywnej pracy nad sobą.

W przeciwieństwie do Pierre Fresnaya, słynny aktor hiszpański Lopez Lagar w filmie „Tierra de Fuego” (Ziemia Ognista) zrealizowanym przy ścisłej współpracy Raoul Entraigas z zakonu salezjanów, — obrazujący dramatyczne dzieje Misji Salezjańskiej w Patagonii, nie potrafił z siebie wydobyć przekonujących akcentów religijnych i przekonane widzów o prawdziwości odtwarzanej postaci. Gdy dodać do tego pewne błędy scenariusza, jak: nierówny rytm dramatyczny oraz wyraźną niepewność konstrukcji, mimo niewątpliwie wartościowego i ciekawego tematu, uznać trzeba obraz za mało ciekawy i mało katolicki.

Gdy mówimy o filmach z życia świętych należy wspomnieć o filmie meksykańskim, wyprodukowanym w r. 1947 pt. „Św. Franciszek z Assyżu”.

Produkcja katolicka rozwija się najistotniej w krajach Ameryki Łacińskiej. W Brazylii pod auspicjami J. E. kard. J. Barros Camara zawiązało się Towarzystwo Produkcji Filmów Katolickich (Secra Filmes LTDA). Rozpoczęło już produkcję sześciu filmów, m. in. „A medalha millagrosa” (Cudowny medalion), „Princesa Pindarassu”, „Assa da minha Patria”.

W Caracas — stolicy Wenezueli — słynny ongiś gwiazdor filmowy Jose Mojica, który przywdział habit zakonny pod imieniem „Brata Guadalupe”, postanowił i rozpoczął realizację filmu o głębokim aspekcie katolickim, w którym gra główną rolę, „pragnąc — jak oświadczył — w ten sposób służyć ukochanemu Kościołowi”.

A cóż w Europie?

Duński realizator Carl Th. Dreyer opracowuje obecnie scenariusz na tle żywota Chrystusa Pana. Film ten wkrótce wejdzie na duńskie ateliera.

Filmowcy francuscy pracują nad filmami szczególnie interesującymi dla katolików.

Abel Gance zamknął się i izolował od świata w swej posiadłości na „Lazurowym Wybrzeżu” i wespół z najlepszymi ekspertami eklezjastycznymi tworzy scenariusz „Boskiej tragedii”.

Ukończono wspaniały film pt. „Niebiański Czarodziej” o życiu świętego proboszcza z Ars, którego podsta odtwarza z najwyższym artystyzmem i wiarą aktor Georges Rollin. Film ten po reprezentacyjnej projekcji spotkał się z gorącym przyjęciem czynników kościelnych i świeckich.

W toku produkcji znajduje się „La cage aux filles” (Klatka dziewcząt) na temat porzuconych dzieci, oraz „Docteur Louise” (Doktor Ludwika) produkcji francusko-kanadyjskiej — reż. Rene Delacroix i Paul Vanderbergh. Również film „Apostre du gibet” (Apostoł szubienicy) o dramacie z życia don Bosco oraz „Barry” z niezrównanym Pierre Fresnaya w roli głównej dopełniają serii pełnometrażowych filmów francuskich.

Krótki ten przegląd sztuki filmowej katolickiej nie byłby pełny, gdyby pominąć milczeniem specjalnie ważną (ze względu na łatwość eksploatacji) produkcję filmów wąskotaśmowych, oraz krótkometrażowych.

(Dokończenie na str. 9)

K. W. Zawodziński

PO JUBILEUSZU PUSZKINA

Z właściwą mu prawdą w umowa-
niu współczesnej rzeczywistości, A. Cze-
chow (wspominany częściej w tym ro-
ku z okazji 45-lecia śmierci), w opowia-
daniu „Nauczyciel literatury z 1895 r.”
tak przedstawia rozmowę o Puszkine
w inteligentnym domu prowincjonal-
nym:

— ... a po wtóre, jakież z Puszkina psy-
cholog? No, Szchedrin, albo, powiedz-
my Dostojewski. — to co innego, a
Puszkina wielki poeta i nie więcej.

— Szchedrin swoją drogą, Puszkina
swoją. — posępnie odpowiedział Ni-
kitin.

— Wiem, że tam u was w gim-
nazjum nie znają Szchedrina, ale
nie w tym rzecz. Proszę mi powie-
dzieć, jakież z Puszkina psycholog?

— A cóż nie psycholog? Proszę, ja
przytoczę przykłady.

I Nikitin zadeklamował kilka
miejsz z Oniegina potem z Borysa
Godunowa.

— Żadnej nie widzę tu psycholo-
gii — westchnęła Wania. — Psycho-
logiem nazywa się ten, kto opisuje
wygięcia i zakamarki duszy ludzkiej,
a to są piękne wiersze i nie więcej.

— Ja wiem jakiej pani psycholo-
gii potrzeba! — obraził się Nikitin. —
Pani trzeba, żeby ktoś pilował mi tę-
pą piłą palce i żeby mi wrzeszczał
na całe gardło — to jest według pa-
ni psycholog.

— Mizerny dowcip! A jednak Pan
mi jeszcze nie udowodnił: dlaczego
Puszkina jest psychologiem?”

Przytoczone słowa (ciekawe także ja-
ko wyraz niechęci do Dostojewskiego —
nie jedyny jaki można zanotować w
wypowiedziach znakomych jego współ-
czesników: A. Pisiemski, L. Tolstoj)
są echem któregoś kolejnego etapu opi-
nii publicznej Rosji o jej największym
poecie. Opinia ta falowała w ciągu stu
lecia pod wpływem sprzecznych, kolej-
no z różnych stron wysuwanych postu-
latów o zadaniach literatury: i zanoto-
wany przez Czechowa moment — około
1890 r. — nie jest wcale miejscem naj-
niższego wygięcia krzywej wahań. Trzy
dzieści lat przedtem zastanawiano się
w kołach radykalnej inteligencji nad
dylematem co „wyższe”: Puszkina czy
para butów? W opisanym przez Cze-
chowa momencie „pisariewszczyzna” jest
już przewyższona: w tych samych

właśnie kołach radykalno - rewolucyj-
nych najpopularniejszy wówczas kry-
tyk, Michajłowski z właściwą mu prze-
konywającą wymową ukazuje nonsense
tej „walki z estetyką”. Ale do pełnego
zrozumienia i uznania wszechstronnego
geniusza jest jeszcze daleko. Wysuwa-
ne są kolejno skrajne i sprzeczne ze
sobą ujęcia Puszkina: raz podkreśla się
jego ponadnarodową wszechludzkość,
to znów ceni się go jako poetę naskroś
narodowego; uważa się go za romanty-
ka, i w ten sposób za twórcę nowej li-
teratury, która zerwała pęta pseudokla-
sycyzmu, to znów za kontynuatora, za
dopełnienie na szczytach sztuki tradycji
literackiej klasycyzmu i XVIII w.;
podkreśla się jego realizm, a dla innych
poetów jego jest urzeczywistnieniem
idealnej doskonałości formalnej, niez-
ależnionej w swem pięknie od warun-
ków życiowych jego czasu — i to kład-
zie początki fanatycznej pracy nad
puszkinologią w kołach estetyzującego
odłamu symbolistów. Puszkina: jak w po-
łowie XIX w. znowu staje się sztun-
darową postacią „szkoły czystej sztuki”.
Jej dawni przedstawiciele, reakcyjni
albo co najmniej lojalni poddani car-
natu, zniechęceni jako artyści i jako
ludzie przez radykalno - rewolucyjną
młodzież, ściągali odium na twórczość
tego, którego wyłącznymi kontynuator-
ami się mienili; sfer rządzących ówce-
snej Rosji leżało zresztą w interesie wy-
zyskanie na swoją korzyść niezmiernie
popularności poety — więc też od pier-
wszych pośmiertnych wydań zaczyna
się falsyfikowanie jego tekstów i jego
oblicza politycznego jeszcze bardziej ja-
skrawie wychodzące w szkolnych anto-
logiach, falsyfikowanie oblicza poety,
przecież tyle sprawiającego kłopotów
politycznej za życia, w przecią-
gu całej swej dwudziestoletniej (licząc
już tylko lata sławy i oddziaływania
na całą czcziącą Rosję) działalności
literackiej.

Swoją drogą przyznać należy, że te
sprzeczne ze sobą ujęcia Puszkina
wszystkie znajdują uzasadnienie w je-
go wielościennej, coraz to innymi faset-
kami, jak brylant, jaśniejącej twórczo-
ści. Nawet i w jego postawie politycz-
nej nauka radziecka, w osobie swych
największych autoritetów (np. prof. D.
Blagoja) nie zaprzecza sprzecznościom,
odpowiadających jego pełnej sprzeczno-

ści przejściowej, stanowiącej wypad-
kową zachodzących w jego epoce pro-
cesów historycznych, pozycji społecz-
nej. Nawet w artykułach jubileusz-
owych mimo obowiązującego w takich
wypadkach tonu, nie przemilcza się je-
go pojedynczych omyłek (np. w ocenie
powstania polskiego w 1830 r.: „Zna-
mia” nr 6 z br., str. 160.

Wracając do postawionego na wstę-
pie w cytacie Czechowa zagadnienia
„czy Puszkina był psychologiem?” na
rzecz pozytywnej odpowiedzi możnaby
dać mnóstwo dowodów z tej dziedziny,
która najczęściej w takiej sprawie
wchodzi w rachubę, tj. z jego charakte-
rologii, z obrazów żywych ludzi zału-
niających dramatyczne i epickie jego
utwory, włącznie z prozą narracyjną,
której ocena i rola w dziejach powsta-
nia wielkiego, największego w literatu-
rze powszechnej ostatnich stu lat, po-
wieściopisarstwa rosyjskiego wciąż
wzrastają. A i ta pozytywna odpowiedź
byłaby skomplikowana przeciwieństwami.
Z jednej strony możnaby (tak jak
w swej zwięzłości napomyka najwidocz-
niej Czechow) położyć nacisk na prze-
ciwstawność ukształtowania artystycz-
nego duszoznawstwa Puszkina meto-
dom psychologicznym Dostojewskiego;
z drugiej strony możnaby uwydatnić
nie tylko uwielbienie Dostojewskiego
dla Puszkina i podziw dla najgłębszej
prawdy stworzonych przez niego posta-
ci (wypowiedziane m. in. w słynnej mo-
wie jubileuszowej z 1880 r.), ale rów-
nież i te utwory Puszkina, jego nowe-
listykę i specjalnie petersburski odcinek
tematyki, z *Jeźdźcem miedzianym* do
którego niejako nawiązuje Dostojew-
ski, cisząc romantyczną tradycję w
swej, o wiele bardziej romantycznej,
niż to się zwykle w umowianiu jego,
jako realisty, bierze pod uwagę, twórczo-
ści. Są głosy we współczesnym lite-
raturoznawstwie radzieckim, choćby
odosobnione (S. Bondi, w księdze zbio-
rowej wyd. przez Ak. Nauk Puszkina —
ojciec nowej literatury rosyjskiej), że
właśnie Dostojewski był jedynym spad-
kobiercą Puszkina wśród powieściopis-
arzy rosyjskich. Możliwe wreszcie,
wychodząc w pojęciu psychologii arty-
stycznej poza ramy charakterologii i ro-
dzajów dramatycznych i narracyjnych,
zwrócić uwagę na formę artystyczną,
w której wystąpiło duszoznawstwo
Puszkina i gdzie ono jest nieprześcig-
nione. Prawda i celność — w uchwyc-
eniu i zawarciu w słowo przeżycia — w
lyryce puszkiniowskiej są nieporównane,
a przeżycia i wzruszenia te mają skalę
czy raczej jakby powiedzielibyśmy po
nowoczesnemu „wachlarz” olbrzymi.

Zaiste, „nie co ludzkie nie było mu
obce”, od uczuć najzwyczajniejszych do naj-
bardziej niecodziennych (wiersze o bez-
senności lub strachu przed zwariowa-
niem), od najwznioślejszych do najbar-
dziej przyziemnych (rozczarowanie zło-
dniego podróżnika przy pustym bufie-
cie stacji pocztowej); a wszystkie, w tej
liczbie najbardziej wyjątkowe, wzrusze-
nia posiadają niczem nieodpartą siłę
rekonkretyzacji w duszy każdego, nie
pretendującego do wyjątkowości czytel-
nika; są wszechludzkie, jak cała poe-
zja Puszkina. Siłę tę zawdzięczają tak
że niektórym, właściwym tylko Puszk-
inowi chwytom, przekazującym żywą in-
tonację głosu, gest i mimikę, towarzy-
szące słowu: dodatkowy to warunek
niezwykłej zwięzłości wypowiedzi. Naj-
łatwiej ten chwyt zauważyć na figlar-
nych drobnoścach, o znaczeniu czysto
prywatnym np. *Posłanie do Rodianki*
lub taki młodzieńczy biliet doux skier-
owany do któregoś bóstwa z operowej
sceny (Nimfodory Siemionow): „Chciał-
bym być twym pokryciem, Albo pieskiem
pościelowym twoim, Lub poręcznikiem
Bajkowem... Ach, ten poręcznik,

lotr!...” Niestety, niedoleżny, choć do-
słowny przekład, nie oddaje wdzięku
tej czarującej błahostki, mówiącej wię-
cej o zapalach erotycznych młodzieńca,
niż tomy powieści psychologicznej.

Nadmieniłszy przed chwilą o wszech-
ludzkiej skali poezji Puszkina. Jest to
podstawą wciąż wzrastającego, niez-
ależnego od jakiegokolwiek propagandy
kultu Puszkina w szerokim świecie. Po-
czątki jego tkwią zresztą w czasach,
gdy propagandy kulturalnej nie znano.
Już za życia Puszkina zjawiał się na
gruncie francuskim wielbiciel i tłumacz
tej miary co Prosper Mérimée. Dalsze postępy tego kultu we Francji
są związane z nazwiskiem i wpływami
Turgieniewa w świecie literackim fran-
cuskim. Nie jest moim zadaniem zobra-
zowanie sławy wszechświatowej Puszk-
ina. Chciałbym tylko zwrócić uwagę,
że podobnie jak jego kult w ojczyźnie
wzrastał w swobodnej grze ścierają-
cych się ocen, bez jakiegokolwiek udziału
czynnika oficjalnych, tak i zagranicą
sława Puszkina szerzyła się niez-
ależnie od politycznych stosunków da-
nego kraju z cesarstwem rosyjskim.

Przykładem może być Polska, która,
jak wykazały pełne erudycyjne prace Ma-
riana Jakóbca i Mariana Toporowskie-
go (a także S. Kulakowskiego, zmar-
łego na początku br.), zajmuje pierwsze
miejsce pod względem przekładów z
Puszkina i innych puszkiniaków. Pier-
wsze miejsce nie tylko ilościowo, ale rów-
nież co do wczesnego zainteresowania
się geniuszem poezji rosyjskiej. Wła-
śnie w tych dniach Ossolineum wydało
w b. stylowej zewnętrznie formie M.
Toporowskiego *O nieznanym tłumaczu
Puszkina*, przypomnienie całego tomiku
przekładów, w tym niektóre prześlicz-
ne, opublikowane już w 1830! Odsy-
lając do tych równie uczonych jak świe-
tnie napisanych prac, chcę tu tylko za-
znaczyć, że sława Puszkina szerzyła się
w Polsce (a pierwszym jej ośrodkiem
był niepodległy caratowi Lwów!) pomimo
jak najbardziej niesprzyjających
warunków, pomimo walki politycznej z
jego państwem, pomimo niezliczonych
postawy jego w tych wierszach, które
carska szkoła umyślnie dla zgnębienia
uczni patriotycznych ucznia — Pola-

ka, robiła obowiązkowym przedmiotem
nauczania.

Jubileusz tegoroczny nie jest pierw-
szym jubileuszem puszkiniowskim, jaki
przeżywamy w Polsce. Sam pamiętam
z dziecinnej lektury czasopism echa
stulecia jego urodzin; w liczbie tych,
którzy publicznie złożyli mu wówczas
hołd znajdowała się cała „trójca po-
wieściopisarzy”, czołowych wówczas
przedstawicieli literatury polskiej: Orze-
szkowa, Prus, Sienkiewicz. A pisma,
które zamieszczały artykuły jubileusz-
owe, nie działały pod przymusem: cen-
zura carska zabraniała bardzo wiele
rzeczy, ale to, co z rzadka było nakazy-
wane do druku, wyróżniało się już
graficznie. Następny jubileusz, stu-
lecia śmierci, obchodzony już w nie-
podległej Polsce, miał rozmiary imponu-
jące. „Trwałszym nał spiż” pomnikiem
jego pozostała wydana pod redakcją W.
Lednickiego dwutomowa księga, zawi-
erająca sumę puszkiniologii polskiej. Bie-
żący jubileusz, poprzedzony szeregiem
ciekawych studiów (pisanych jednak
przeważnie wciąż w dalszym ciągu pod
kątym widzenia stosunku Puszkina —
Mickiewicza, jak pełne erudycyjne badania
L. Gomułickiego) i przekładów (specjal-
nie podkreślić tu trzeba działalność S.
Pollaka), prócz pokłosa czasopiśmienn-
iczego może się poszczycić kontynuacją
dwóch kapitalnych przedsięwzięć: kon-
kurujących ze sobą nowych przekładów
Oniegina. Przekład Tuwima jest już o-
tyle posunięty w ogłoszonych fragmen-
tach, że chyba wkrótce będziemy mogli
w całości i stwierdzić, nikt nie byłby
w stanie pójść dalej w nagięciu słowa
polskiego do równoważnego oddania
poezji Puszkina. Można myśleć, że ocze-
kiwanie na to jest słusznym powodem
zwłoki w ukazaniu się zbiorowego wy-
dania dzieł Puszkina po polsku, które
zredagowane przez najwybitniejszych
naszych rusycystów, stanowiłoby dopie-
ro odpowiedni wyraz hołdu z naszej
strony dla genialnego poety w jego ro-
ku jubileuszowym.

K. W. Zawodziński

FILM KATOLICKI

(dokończenie ze str. 8-iej)

Już w r. 1934 Dominikanin Fer-
dynand Valentine wraz z L. P. Upsom-
em, proboszczem Prinknash (oba
Anglicy), zrealizowali następujące
filmy oświatowo-katolickie: „Wiecz-
ne Miasto” (o katolickim Rzymie),
film liturgiczny „Msza Dominikań-
ska”, nakręcony w opactwie Wood-
chester „Płomienne serce”, film spo-
łeczny o pracy sekcji kobiecej Ro-
botniczej Młodzieży Katolickiej w
Anglii, „Zmotoryzowana Misja” oraz
szereg filmów o pracach misji ka-
tolickich w różnych częściach świata.
Film „Visitation” (Nawiedzenie)
wyprodukowany przez Catholic Film
Society. Treścią jego jest praca cha-
rytatywna misji maryjskiej w Afry-
ce Wschodniej między trędowatymi.
Dokument ten wstrząsa swą niezwy-
kłą głębią ujęcia problemu miło-
sierdzia chrześcijańskiego.

Zestawiając w zakończeniu kryte-
ria i wymogi filmu katolickiego z
rodzajami i ilością produkcji — ro-
zumiemy dlaczego dotąd dla szere-
gów katolików sprawa filmu mog-
ła być nieznaną.

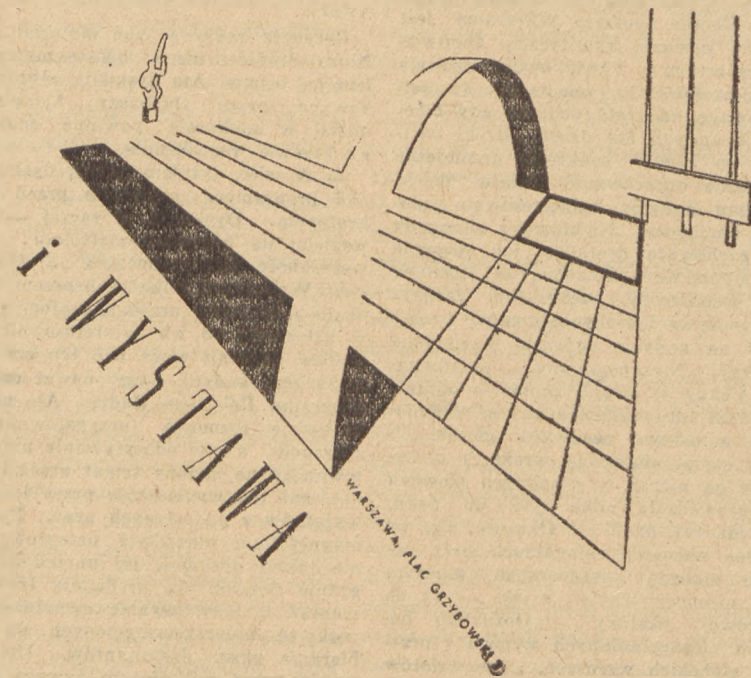
Film katolicki nie może być z na-
tury swym produktem masowym, nie

może iść po linii taniej popularności
hollywoodzkich kiczów, również nie
może być w czystym tego słowa zna-
czeniu filmem handlowym.

Z tego też powodu produkcja fil-
mów katolickich zawsze będzie ogra-
niczona, a punkt ciężkości zaintereso-
wania filmem będzie spoczywał
na moralnej cenzurze filmów produ-
kowanych przez wytwórnie handlo-
we, a nawet społeczne. Zrozumiałym
jest, że Kościół nie może skazywać
wszystkich swych wiernych na dłu-
gie oczekiwania według wymogów
własnej linii produkcyjnej i tym sa-
mym uniedostępniać filmów, które
aczkolwiek nie zawierają momentów
religijnych, mogą być bardzo pozy-
tywnymi w wychowywaniu człowie-
ka.

Na zakończenie dodamy, że w naj-
bliższym okresie poza filmem fran-
cuskim wytwórnie zajmą się pro-
dukcją szeregu krótkometrażówek i
wąskotaśmówek filmów o charakte-
rze eklezjastyczno-oświatowym i kul-
turalnym. Pierwsze zostaną zrealizo-
wane w czasie Roku Jubileuszowego
w Rzymie.

WNETRZE



Juliusz Nowak-Dłużewski

KONRAD GÓRSKI O MICKIEWICZU

(„Przewycięzenie prometeizmu w „Dziadach”)

O sprawie prometeizmu w „Dziadach” pisano niewiele. Zagadnienie to „zbywane było ogólnikowymi uwagami”... straszliwa dynamika cierpienia patriotycznego w „Dziadach” przesłaniała ogromnej większości czytelników (a w wielu wypadkach i pewnym badaczom) problematykę filozoficzną utworu... za mało się zwracało uwagę na to, że „Dziady są nie tylko tragedią człowieka, bolejącego nad losem narodu, ale i tragedią umysłu ludzkiego, pragnącego przeniknąć istotę Boskiej natury” — pisze prof. K. Górski w uzasadnieniu swej pracy poświęconej „Dziadom” jako utworowi prometejskiemu. Jedynie Rafał Blüth w dwu pracach zajął się bliżej tą sprawą, ale odmienne ją pod kątem widzenia stosunku „Dziadów” do Jakuba Boehmego, a więc fragmentarycznie.

Praca K. Górskiego, wyszukując oczywiście wyniki badań Blütha, rozszerza zagadnienie naukowe pod kątem widzenia stosunku „Dziadów” do prometeizmu starożytnego i nowożytnego, pragnąc wyczerpać całość sprawy „chrześcijańskich” dzieł Konrada - Prometeusza. Jej założeniem jest wykazanie, że „Dziady” są przewycięzeniem prometeizmu, tak jak on był pojmowany

w dobie oświecenia i romantyzmu oraz nawiązaniem do takiego ujęcia mitu, jakie spotykamy u Ajschylosa”. W tym fakcie wyraził się właśnie „chrześcijański” charakter Mickiewicza, którego Prometeusza, którego napisanie (jeżeli mamy wierzyć zapewnieniom Odyńca) leżało w intencjach twórczych poety.

Zgodnie z planem otrzymujemy w pracy wgląd w istotę prometeizmu u Ajschylosa oraz późniejszych jego europejskich wersji, wgląd w religijną koncepcję poety greckiego, która w koncepcji nowożytnej u Shaftesbury’ego, Goethego, Byrona i Shelleya otrzymuje zrozumiałe na gruncie prądów umysłowych oświecenia zabarwienie antyteistyczne, jeżeli już nie wręcz ateistyczne.

Wreszcie „Dziady” cz. III. Improwizacja jest niewątpliwą syntezą dotychczasowych postaw prometejskich, jakie znamy z literatury europejskiej. Stwierdza ona racjonalistyczny król indywidualności Konrada, który powołując się na uczucie jako na narzędzie swej walki z Bogiem, w rezultacie szturmuje do Niego broń rozum. Stwierdza ona dalej racjonalistyczną postawę poety, wychowanka Oświecenia, które go uczyło, że cierpienie jest tylko wtedy zro-

zumiałe i moralne w porządku rzeczy, jeżeli jest oświeceniem przez cierpiące zawinione. Stwierdza wreszcie przejętą przez Mickiewicza postawę Shaftesbury’ego, który widział w Prometeuszu symbol poety — twórcy, równego najwyższemu Stwórcy. Konrad dwa razy przecie głosi swą wszechpotęgę twórczą, równą Bogu.

To prometeizm. Gdzież jego przewycięzenie, jak głosi tytuł pracy?

W tym, że Konrad nigdy właściwie nie doprowadza do kryzysu swej buntowniczej rozgrywki w Bogiem. Protestuje przeciw błądzeństwu Jankowskiego, bo żyje w nim uczucie przywiązania do Marii. Zwręka z decyzją rzucenia Bogu wyzwania ostatecznego, po którym nie ma już powrotu, bo działa w imię siła kultury chrześcijańskiej, wpołonej mu przez środowisko. To jed-

Od zguby ostatecznej ratują go „dobry ludźcie i anioły”: modlitwa matki Ewy, pomoc ks. Piotra, interwencja Archanioła, który przed trybunałem Boskim zwycięża argumentem, że Konrad zgrzeszył pychą z pobudek miłości ku ogółowi. Pogodzenie się Konrada z Bogiem nie może się odbyć bez jego udziału, jak stwierdza Mickiewicz w „Zdaniach i uwagach” (Bóg „bez naszej pomocy nie może nas zbawić”). Odkupienie win Konrada przez ks. Piotra umożliwia mu postawienie pierwsze go kroku ku pojednaniu, po którym przyjdzie akt pokory i apostołstwo „ka planu nowej wiary”. Mickiewicz — rozumie uczonego badacz — dochodzi do gradacyjnej koncepcji Ajschylosa w pełnej jego, a nieznannej dziś trylogii o Prometeuszu, kiedy Prometeusz w okowach przekształca się w Prometeusza oswobodzonego, dochodząc u poety greckiego do ostatecznej apoteozy.

Mickiewicz w świetle wywodów K. Górskiego staje na stanowisku tożsamości moralnej z Ajschylosem, jego mi-tem religijnym a bierze rozbrat z bezkompromisowym bogoburstwem Pro-

meteuszów Goethego, Byrona, Shelleya. Przewycięzenie pychy rozumu i rzekomej równości twórczej z Bogiem dokonało się na drodze pokory, przewycięczenie „grzesznej myśli” o niezasłużonym cierpieniu narodu znalazło wyraz w uznaniu nadprzyrodzonego znaczenia cierpienia w widzeniu ks. Piotra.

Taki jest skrót rozumowania uczonego, niezbyt może doskonały. Należy się uczonemu wdzięczność ze strony miłośników Mickiewicza (nie tylko badaczy) za odwołanie i wyjaśnienie tak niby prostej ostatecznie (bo tak jest!) problematyki „chrześcijańskiego” Prometeusza - Konrada, która się staje jednak oczywistą dopiero przy pomocy K. Górskiego. Zaczynamy w pełni rozumieć nie tylko ideową ale i formalną architekturę tego dramatu, który zaiste jak teraz widać jest triumfem artystycznym Mickiewicza; nie przyszedł mu łatwo, za darmo, wbrew przechwałkom Konrada o jego twórczej „wszechmo-ocy”, równy Bogu. Rozumiemy również po lekturze tej pracy harmonijną łączność „Dziadów” z systemem współczesnej literki religijnej Mickiewicza: rym skiej oraz „Zdań i uwag”, co zostało ad oculos przedstawione w tej pracy.

Jaśniejsza jest teraz również wartość wychowawcza „Dziadów”. Każde przeciwie wielkie dzieło sztuki posiada tę wartość. Cytowany okolicznościowo, dla innych celów, przez K. Górskiego fragment Shaftesbury’ego „Soliloquy” jakże żywo do nas dziś przemawia prawdą moralnego sądu o dziele sztuki słowa, sądu obalającego równoległy sąd. Z. Krasieńskiego (o poecie, przez którego przepływa strumień piękności, ale który sam nie jest pięknością). „Dziady” uczą nas na żywym przykładzie Mickiewicza (przecież to utwór realistyczny, mimo swych mistycznych wlotów), jak się dokonywa przewycięzenie wyłączeni duchowej, jednostronności, maksymalistycznych skrajności jako niebezpiecznych tendencji duchowych, funkcjach życia osobniczego czy

zbiorowego. Praca prof. K. Górskiego wypełnia braki w literaturze naukowej o „Dziadach”. Jest wynikiem dwudziestoletnich przemyśleń tego tematu, a więc wynikiem, co się zowie, dojrzałej myśli krytycznej. Czytamy przeciw w przypisach, że wywody pracy podał autor w formie wykładów w uniwersytecie warszawskim w r. 1929, a drukował dwukrotnie; we własnej historii literatury polskiej do r. 1863 (Wiedza o Polsce) oraz w Księdze Referatów II Międzynarodowego Zjazdu Slawistów.

Jest ona cenna z innych jeszcze względów. Przypomina mi się, co napisał kiedyś Herder o pracach humanistycznych, w sposób może zbyt krańcowy, ale ostatecznie słuszny ujmując swe myśli: „wcale mi na tym nie zależy, co Bacon wymyślił, ale na tym, w jaki sposób myślał”. Chodzi tu, krótko mówiąc, o sprawę metody myślenia naukowego. Otóż cała praca o „Przewycięzeniu prometeizmu w Dziadach” jest przykładem ścisłego, logicznego i skrajnie konsekwentnego rozumowania, z obranego punktu widzenia i w obranym przedmiocie. A to właśnie również nazywa się metodą. Popisowe pod tym względem są zwłaszcza środkowe rozdziały.

Metoda taka pozwala nie tylko na przejrzysty i przekonujący układ materiału dyskusyjnego, ale nawet na pewne osiągnięcia odkrywcze. Jest to zresztą rzecz w tym wypadku naturalna i u metodyków spotykana. Odkrywczym spostrzeżeniem prof. K. Górskiego jest stwierdzenie pewnej „skazy kompozycyjnej” Prologu Dziadów, niedostrzeżonej i niepoprawionej przez poetę wtedy, kiedy się zdecydował Prolog przesunąć z pierwotnego jego miejsca po scenach wizji na początek dramatu. Takich odkryć jest więcej, nie cytuję ich dla braku miejsca, odsyłając czytelnika do samej pracy.

Juliusz Nowak - Dłużewski

Z notatnika radiosłuchacza

Konkurs na recenzję radiową ogłoszony przez Biuro Studiów Polskiego Radia trwa.

Mówiąc o recenzji przyzwyczajaliśmy się myśleć przyjętymi kategoriami, szukać omówień tylko z różnorodnych dziedzin sztuki lub nauki. Na pierwszy rzut „konserwatywnego” oka wydawałoby się mogło, że wśród audycji radiowych słuchowisko jest tą, która przez swój aspekt artystyczny jest predysponowana do recenzjowania.

Na podstawie materiału konkursowego można stwierdzić, że jednak słuchowisko nie jest tym jedynym „rodzajem radiowym”, który skupia uwagę słuchaczy. Wśród recenzji nagrodzonych na konkursie sierpniowym (wyniki wrześniowe nie zostały ogłoszone do chwili w której piszę) zwraca uwagę szeroki zakres audycji, które były bodźcem do napisania omówień. Są wśród nich słuchowiska, reportaże i transmisje radiowe (i to o tematyce różnorodnej — jest transmisja z Festiwalu Młodzieży w Budapeszcie i reportaż o Państwowym Zakładzie dla Umysłowo Chorych), audycje dla młodzieży, audycje dla wsi, audycje specjalne (np. audycja o tematyce politycznej pt. „Dokumenty mówią”), pogadanki oświatowe, utwory literackie itp. Zakres wypowiedzi jest szeroki — aż do omówień poświeconych całości programu. Trzeba również zwrócić uwagę na fakt, że wśród autorów nagrodzonych (względnie wyróżnionych) prac znajdują się przedstawiciele różnych grup społecznych: nauczyciel, student, uczeń, rolnik, hutnik, księgowy itp.

Recenzje różnią się pomiędzy sobą nie tylko poziomem, ale również ujęciem. Obdarzona I-szą nagrodą recenzja A. J. Markiewicza ze słuchowiska „Pan Chopin opuszcza Warszawę” jest typową recenzją analityczną. Omówienie reportażu z Państwowego Szpitala dla Umysłowo Chorych zwraca specjalną uwagę na treść podczas gdy omówienie audycji dla dzieci „Rzeki wpadają do Wisły” podkreśla „umiejętne i słusne opracowanie tematu” dzięki któremu audycja zainteresowała młodych słuchaczy. Niektórzy z piszących nie zachowują dystansu, ich recenzje są impulsive, świadczą ze stosunek był bezpośredni i uczuciowa reakcja bardzo żywa („osoby zaproszone przeze mnie na audycję ogarnęły wzruszenie do łez”, „Niezapomniany i niezrównany piękny w swojej prostocie obraz... dał nam sprawozdawać gdy ze stłumionym a pełnym zewhwytu głosem...”), przy czym odniesione wrażenia opisywane są nieraz w dosadnych słowach („doprowadzała mnie ona do pasji, prawdziwej pasji”). Okazuje się, że zakres wrzeseń osłagalnych przy pomocy małego, niepozornego głośnika jest niespodziewanie wielki — aż do radiowej „ekstazy”. („Doznałam bowiem niezapomnianych wrażeń i przeżyć głębokich wrzeseń, a ze wlotów podniebnych wysunęłam tyle postanowień na codzień, tyle życiowych nadziei na przyszłość”).

Uczestnicy konkursu wysuwają szeregi postulatów zarówno odnośnie ca-

łych audycji, jak i ich szczegółów (podawanie nazwisk sprawozdawców, dokładne różnicowanie głosów aktorów itp.). Na uwagę zasługuje recenzja J. Boredy (II-ga nagroda), która na marginesie audycji dla dzieci próbuje ustalić zasadnicze kryteria oceny. Pi-
sze on:

„Stajemy przed zasadniczą trudnością. Jak będziemy oceniać np. słuchowisko? Kiedy oceniam film, to biorę pod uwagę scenariusz, zdjęcia, grę aktorów, reżyserię, muzykę. A radio? Rozpatrzymy kolejno elementy. Tekst słuchowiska. Wyraza i zdania trafiają do umysłu słuchającego, nabierają określonego znaczenia, które przeobraża się w formę wizualną, spotęgowaną przez dodatkowe efekty akustyczne, głos aktora (radiowego), muzykę, stuki, puki itd. Przy czym bogactwo strony akustycznej jest wprost proporcjonalne do bogactwa obrazu wizualnego (myślowego). Zwłaszcza obok głosu ludzkiego najdonioślejszą rolę odgrywa muzyka, sprawująca największą przyjemność estetyczną, a jednocześnie dysponująca możliwościami oddania odcieni przeżyć uczuciowych, które na scenie czy na ekranie aktor wygrywa ruchem, czynnikami stojącym poza radiem. Reasumując otrzymamy dwa zasadnicze kryteria oceny audycji radiowej: treść i stronę akustyczną.”

Poprzedzając na tym krótkim omówieniu, którego zadaniem jest nie analiza wypowiedzi, ale zwrócenie uwagi na żywe zainteresowanie problemami radia chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jeden fakt.

Czy to, że recenzje słuchaczy można znaleźć w tygodniku „Radio i Świat”, że są one drukowane jest właściwe?

Recenzja radiowa jako materiał dla Biura Studiów niech będzie materiałem na piśmie. Ale dyskusja zapoczątkowana przez słuchaczy biorących udział w konkursie powinna znaleźć radiowe rozwiązanie.

— A więc, tytułem próby, dyskusja nad programem radiowym przed mikrofonem. Dyskusja, a raczej — ze względu na bogactwo materiału i powszechność zainteresowania — dyskusja. Wybranych kilka osób przeprowadzałoby rozmowy przed mikrofonem — w zależności od ich zainteresowań tematem dyskusji może być ten czy inny zakres audycji, czy nawet całość programu Polskiego Radia. Ale niech to będzie rozmowa (przygotowana w zarysach), a nie odczytywanie przygotowanego na zadany temat przemówienia, ani też wygłoszenie przez lektora wyjątków z nadesłanych prac. Pomoc magnetofonu umożliwia przeprowadzenie takiej dyskusji, jej uprzednie nagranie pozwoli na „redakcję tekstu”, montaż i zniwelowanie ewentualnych potknięć nieprzyzwyczajonych do zabierania głosu dyskutantów. Umieszczenie przed mikrofonem żywego człowieka da żywą audycję. Zbliży ją do słuchacza, urealni, odbierze — częścią w Polskim Radio — koturnowość.

Jan Paweł Gawlik

Sprawy mieszkaniowe

Nie tak dawno szukałem sublokatorskiego pokoju w Krakowie możliwego do odnajęcia na umiarkowanych warunkach. Bezskuteczne te usiłowania odsłoniły mi szereg problemów, które dzisiaj wiążą się ze sprawami mieszkaniowymi. Okazało się, że w tej dziedzinie istnieje wyzysk, jakiego nie postydziłoby się najbardziej kapitałsi.

O co chodzi. Istnieją rozporządzenia traktujące o gospodarce lokalami. Szukający mieszkania składa o jego przydział podanie w Urzędzie Obwodowym. W miarę wolnych miejsc winien mieszkanie otrzymać. Mało jest jednak naiwnych, to też niewielu czeka na przydział mieszkania z urzędu. Większość szuka na własną rękę. Znalezienie wolnego mieszkania, czy pokoju (pokoju do którego główny lokator nie ma prawa) nie rozwiązuje jednak trudności. Do uzyskania oficjalnego zezwolenia na zamieszkanie w określonym lokalu tak zw. „przydziału”, wymagana jest zgoda głównego lokatora. Wynika stąd, że główny lokator musi być stronnikiem ubiegającego się czyli kandydat na uzyskanie przydziału mieszkania (pokoju) musi gwarantować spełnianie wymagań dotychczasowego posiadacza. Wymagania te odnoszą się najczęściej do finansowej strony wzajemnych stosunków sub- i lokatora. Ale nawet gdy one — oczywiście z punktu widzenia właściciela — nie budzą zastrzeżeń, to jeszcze Urząd Mieszkaniowy ma tutaj decydujący głos. Może mieszkanie przydzielić według swojego uznania — własnemu faworytowi.

Jak ciężką, tajemniczą i niepewną w skutkach machiną jest ten system zdobywania mieszkań świadczy częste oddawanie w ręce adwokatów sprawy uzyskania przydziału na konkretny lokal. Toteż nie dziwnego, że obie strony, a zwłaszcza główni lokatorzy stronni od pośrednictwa urzędu i nie ujawniają wolnych pomieszczeń. Wynajmują je natomiast na własną rękę, zawierają ciche, „polubowne” umowy z podnajemcami. We wszystkich miastach Polski kwitnie taki dziki rynek mieszkaniowy. Z uwagi na przeludnienie miast i zmniejszenie w wyniku wojny ogólnej kubatury pomieszczeń zamieszkiwanych, a co za tym idzie z racji zachwiania stosunku podaży i

popytu, mają właściciele mieszkań wobec sublokatorów stanowisko mocniejsze, a często, w indywidualnych wypadkach, zbliżone do monopolicznego. Srubują ceny. W praktyce oznacza to nieprawdopodobną drożyznę mieszkaniową. Cztery, pięć, sześć, a nawet osiem tysięcy złotych w Krakowie, a w Warszawie bodaj więcej — oto przeciętna cena za pokój sublokatorski. Sytuację pogarsza fakt, że łaskawe wynajęcie pokoju, oczywiście za grube pieniądze, stwarza — jak można obserwować — atmosferę sui generis zobowiązania moralnego wobec głównego lokatora. W tych warunkach wystarciano się o urzędowy przydział na zajmowany pokój jedynie celem zmniejszenia przez to finansowego jarzma, a nieuczciwego źródła dochodu chciwego właściciela uchodzi za świętostwo i, ciekawe, jest przez opinię zgodnie potępiane. Zresztą denuncjacja w Urzędzie nie zawsze wyjaśnia sprawę.

Panującymi stosunkami mieszkaniowymi w pierwszym rzędzie pokrzywdzona przede wszystkim młodzież studiująca i w ogóle wszyscy, którzy nie mieli szczęścia dostać oficjalnego przydziału mieszkania. Obok wielopokojowych mieszkań zajmowanych przez 2 — 3 osobowe rodziny są pokoje, w których za 4 — 6 tysięcy ciśnie się kilka osób. Obok mieszkaniowego bogactwa są ludzie prawie bezdomni. Znam pewnego repatrianta ze wschodu, pracownika społecznej instytucji w Krakowie, który mając żonę i kilkumiesięczne dziecko mieszka stale w... Domu Akademickim, placenie bowiem wielu tysięcy za pokój sublokatorski przekracza jego możliwości, a o uzyskaniu przydziału na pełne mieszkanie mowy nie ma. Gdy mu wymówią, przeniesie się chyba na ulicę. W Krakowie jest szereg studentów, którzy nie mając stałego mieszkania sąpią kolejno u kilku dobrych, a posiadających dach nad głową kolegów. System ten, zwany w języku środowiska „na waleta”, wpływa fatalnie na samopoczucie i wydajność pracy. Bodaż w gorszej sytuacji znajdują się ludzie pracujący na terenie miasta, którzy z braku nawet takiego dorywczego mieszkania na miejscu dojeżdżają codziennie z miejscowości położonych o kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt kilometrów. Jazda w obie

strony zajmuje im bagatelkę 2 — 3 i więcej godzin dziennie. Podobnych przykładów można przytaczać sporo.

Należałoby sobie życzyć aby dla skrócenia samowoli właścicieli mieszkań, wszystkie wiążące umowy między głównymi lokatorami, a sublokatorami miały szyćwane granice i wymagały legalizacji, a przekraczanie ustalonej ceny za odnajęcie pokoju dokonane nawet za obopólną zgodą winno być surowo i przykładnie karane. Również akcja zagęszczania dużych mieszkań winna być elastyczniejsza i bardziej uzależniona od konkretnych potrzeb. Owa akcja jednak traktować się musi jako zło konieczne i — co najważniejsze — winno się ją przeprowadzać na zasadach w pełni demokratycznych, szanujących nienaruszalność prywatnego mieszkania. Znaczy to, że odnośny urząd winien mieć jedynie prawo do wydania orzeczenia o konieczności zagęszczania określonego lokalu — i w tym urzędy powinny być aktywne i bezwzględne — natomiast jego właściciel ma pełne prawo do doboru przyszłego współlokatora na własną rękę i według własnego uznania. Oczywiście, zagęszczanie mieszkań nie jest żadnym w skali społecznej rozwiązaniem zagadnienia.

Istniejący w Polsce głód mieszkaniowy może być rozwiązany tylko przez oddanie nowych mieszkań do dyspozycji potrzebującym. Toteż budowanie zwyczajnych domów mieszkaniowych stoi w całej Polsce w pierwszym szeregu spraw niecierpiących. Zanim jednak wszyscy potrzebujący otrzymają nowowybudowane mieszkania, zanim znikną pokoje, w których gnieździ się kilkanaście osób i kuchnie, w których gotuje kilka rodzin — najwyższy czas, aby skończyć z bezprawnym wyzyskiem mieszkaniowym.

Posiadanie przydziału na całe obszerne mieszkanie nie uprawnia nikogo do nadużyć z tytułu tej własności. Pobieranie za pokój 3 — 10 tys. zł przy kilkunastokrotnie niższych kosztach własnych jest bezprawne i z gruntu niemoralne, podobne do uprawiania paskarstwa na chlebnie wobec głodnych. Zwłaszcza katolicy winni pamiętać, że nie wolno wykorzystywać dla zysku własnej, lepszej sytuacji mieszkaniowej, ani zajmować wielopokojowych apartamentów gdy inni szukają dachu nad głową.

LESZCZ

TYDZIEŃ TEATRALNY

Beniowski w Teatrze Rapsodycznym w Krakowie

BENIOWSKIEGO dawał już Teatr Rapsodyczny na początku swoich występów przed czterema laty. Obecnie usłyszeliśmy go i ujrzeliśmy w formie ogół nowiej.

Przed wszystkim zmienili T. R. od tego czasu sposób inscenizacji dzieł przedstawianych rozszerzając znacznie jego zakres. Do recytacji stanowiącej jak zawsze punkt ciężkości, przybyła jeszcze oprawa plastyczna, przybył gest i ruch urozmaicony. Słowo czyste rapsodyczne, estradowe stało się słowem pełnym, dramatycznym, słowem granicznym.

Po wtóre wybrano tym razem odmienne niż wówczas następy. Podczas kiedy za pierwszym razem recytowane były prawie wyłącznie dygresje w stylu Byrona, zaczerpnięte przeważnie z pięciu pieśni wydanych za życia poety — obecnie nie zwrócono się w znacznej mierze do tekstów pośmiertnych wybierając te momenty, które zawierają akcję dramatyczną, a omijając wszelkie dygresje. Z tych zaś momentów wyodrębniono motywy ogzotyczne, wschodnie, zawarte w epizodzie krymskim, pomijając epizody heroiczne poematu i stwarzając w ten sposób jakąś dywanowo - sezanmową bajkę niby z Tysiąca i jednej nocy.

Stosownie do metody przyjętej już w T. R., ujęta w ten sposób akcja rozłożona na trzy plany, na których rozgrywa się jednocześnie trzy akty udratyzowanego przedstawienia. Pierwszy plan, stanowiący niejako proscenium, to rozmowa samego twórcy, powołanego do życia w postaci nowoczesnego „conférenciera”, z jego partnerką, również nowoczesną muzą, Drugi, to

właściwa scena, służąca za teren akcji. Trzeci wreszcie, określony w programie jako „nadhudowa ideologiczna”, to wydobycie i wypowiedzenie treści najgłębszej owego „ducha, wiecznego rewolucjonisty”. Te trzy plany przeplatają się i przenikają nawzajem, tworząc jedną całość, mimo że każdy zachowuje swą odrębność, a wprowadzone z wielkim smakiem i w sposób nie narzucający się widzowi (również w zgodzie z ustalonym już systemem) akcesoria, jak wykwinny strój muzy, jak dopełniająca niemniej wykwinny ubiór Potęty prześlizgnięta, stylowa laska, rzucony na podłogę sceny perski dywan, czy dy skretnie przegradzający ją z boku fragment wschodniego namiotu — znaczący tło i nastrój. W tych ramach rozgrywa się akcja bajkowa.

Nade wszystko jednak każdy przychodzący do teatru spragniony jest tego, co stanowi istotny, najwyższy element tego artystycznego przedsięwzięcia — muzyki wiersza Słowackiego. I wyznać trzeba, pod tym względem spotyka nas pewien zawód...

Winna tu w głównej mierze ilustracja muzyczna. Oczywiście, znaleźć kompozytora, któryby mógł wytrzymać porównanie ze Słowackim, jest niepodobieństwem. Ale gdyby nawet trafił się taki Chopin redivivus, to ani nie mógłby służyć za ilustratora blasku cudzego geniuszu, ani co więcej, taka stojąca na szczytach sztuki muzyka nie znosi tego, żeby ją przytłumiła muzyka. To jest — nie waham się użyć tutaj mocnego słowa — to jest profanacja tekstu. Ilustracja muzyczna, jeżeli w ogóle potrzebna, powinna się ograniczyć do nadzwyczaj dyskretnego zazna-

czenia jakichś przewodnich motywów dla występujących postaci czy sytuacji, ale powinna absolutnie milknąć z chwili, gdy przemawia sam arcy mistrz słowa. Co do mnie osobiście, wydałoby mi się najodpowiedniejszym zastosowaniem — nie samych kompozycji Chopina, ale — opracowanych przez jakiegoś bardzo dobrego muzyka motywów szopenowskich. Nie upieram się jednak przy tym zdaniu.

Ponadto jednak... zbyt wysoko cenię Teatr Rapsodyczny, aby nie wypowiedzieć szczerze tego zapatrywania... wkra dła się w interpretację tam stosowaną pewna maniera, którą nie zawsze udaje im się przezwyciężyć. Jest to mówienie szeptem ledwie że dosłyszalnym dla siedzących w pierwszym rzędzie, a po tem nagłe, gwałtowne wybuchy głosu. W porównaniu z tym, owa nieskalana, przeczysta recytacja, w której nie ginie ani jedna sylaba słów wypowiedzianych, a jaka nam dotychczas została w pamięci z uprzedniego wprowadzenia na scenę BENIOWSKIEGO, stoi nieporównanie wyżej. Obecnie zamiast spokojnego napawania się poezją idącą ze sceny, było tylko męczące wychwytywanie urywków tej poezji dających się dosłyszeć bądź ze słów szeptanych, bądź spośród przeszkadzającej w najwyższym stopniu muzyki.

Errare humanum est. Mamy więc na dzieje, pewność nawet, że Teatr, który się zdobył na tak doskonale przedstawienia jak puzkinowskie, mickiewicowskie, norwidowskie, a mimo pewnych zastrzeżeń, nawet i conradowskie — da nam jeszcze niejedną sposobność do pełnego zachwytu.

Alina Świdarska

wego, ta bowiem pozwoli nam na właściwą ocenę, i wykaże prawdopodobnie, czego się będziemy mogli na przyszłość spodziewać.

Na malej scenie „Komedii Muzycznej” „Ja tu rządzą” Wincentego Rapaackiego, jeden z najsłabszych bodaj utworów tego autora, wyreżyserowany został starannie, z dużą dozą własnej inwencji inscenizatora (Stefan Orzechowski). Dekoracje na poziomie. Nade wszystko zaś wyrównana gra całego prawie zespołu. Pierwszorzędna para tworzą Janina Zarubina i Edmund Wayda (Joasia i Ryszard). Temu ostatniemu zwłaszcza należy szczerze powinszować. Powinszowanie to należy się w równej mierze Kazimierzowi Brusikiewiczowi w roli baletmistrza. Wyrwa się westchnienie: żeby to balet mógł choć w części mu dorównywać! Baletu bowiem w żadnym razie nie można pochwalić. Wydaje się, że największe wysiłki choreografa nie tu nie pomogą.

Nuż w komedii przydługie mocno wstawki, w których nic się nie dzieje, a cała brać aktorska, cokolwiek nie bardzo świadoma, co ma robić ze sobą, tłucze się bezładu i składu po scenie. Skrócenie znacznych wstawek wyszłoby sztuce bardzo na dobre. Za wiele też jest, szczególnie w akcie II, gremialnego wchodzenia i wychodzenia ze sceny.

Dekoracje raczej średnie.

Tyle na początek o teatrach Horzycy w nowym sezonie. Ambicje dyrektora i kierowników artystycznych sięgają daleko. Możliwość po upaństwowieniu wszystkich teatrów duże. Zespół aktorski w sumie niezgorszy, acz bardzo niejednolity w poziomie. Pierwsze premiery niewątpliwie przyniosą w wyniku właściwą ocenę możliwości każdego z artystów.

Na ogół nie jest źle.

Eugeniusz Paukzta

Mitologia po francusku

Zaczyna się to z pierwszym wejściem Fedry, z pierwszymi wypowiedzianymi przez nią słowami. Najpierw wymiana spojrzeń zaciekawionych, zaskoczonych, zdumionych. Kto mniej wytrzymał nerwowo, ten jeszcze przy podniesionej kurtynie próbuje szeptem dzielić się z sąsiadem (dłką) wrażeniami. W pierwszym antrakcie są to jeszcze względnie spokojne rozmowy, wymiana cichych, niesprecyzowanych uwag. A później gorączka narasta. Zjawisko jest tak niecodzienne, tak absorbujące, że musi, chcesz tego czy nie chcesz, przerodzić się w jakąś grę bardziej pochlanającą, niemal publiczną. Wówczas w spontanicznym crescendo narasta gwar — to już nie rozmowa, raczej dysputa, ogólne podniecenie, burza. Zachwyty i oburzenie. Peany i potępienia.

Taką to emocję przeżywa Poznań każdego wieczoru, na każdym spektaklu „Fedry”, ba, nawet poza spektaklem, bo echa uchwycisz jeszcze u „Zagłoby”, nawet w rozgwarze dawnego „Moulin Rouge”, dziś lokalu „gastro-nomiczno-rozrywkowego nr 12”.

O co idzie w tych sporach, w tych dyskusjach zajadłych i emocjonujących?

O Irenę Eichlerównę.

Realizowany przez Wilama Horzycę spektakl „Fedry” Racine'a podzielił trzeba sobie na dwie zasadnicze części: Irena Eichlerówna i... reszta zespołu wykonawców wraz z inscenizatorem i scenografem.

Części te są zupełnie różne. Lepsza i gorsza? Na to trudno odpowiedzieć jednym słowem, trudno zacząć od tych uproszczonych mierników oceny. Nie lepsza, nie gorsza, po prostu jedna inna niż druga.

Kreację Ireny Eichlerówny należy potraktować poważnie — artystka ta zasługuje na to na pewno. Odrzucić tedy trzeba konieczne wszystkie pomyśły o manierze. Jesteśmy świadkami i głęboko przemyślanej roboty aktorskiej. Mamy do czynienia z dojrzałością twórczą — jej skutek jest inny niż ten, który zwykliśmy oglądać na scenach — ot i cała przyczyna pewnego zaskokowania widzów. Operowanie terminem „inne” nie może wystarczyć. Trzeba zagadnienie sprowadzić na płaszczyznę wartości wymiarnych, trzeba, taki już obowiązek recenzenta, ocenić dzieło.

Różnica polega na tym, że dla pełniejszego wydobycia tragedii Fedry, Eichlerówna prócz gestu, prócz tego co zwykliśmy nazywać grą, wprowadza specjalną modulację głosu. Jest to próba upłynnienia poetyckiego tekstu Racine'a przez położenie go na dostosowanym do treści tonie. I w użyciu tego podkładu, w pełnym scharmonizowaniu melodycznej fali nośnej i treści słowa przejawia się intencja twórcza artystki. Widzimy kompozycję jasną i zwartą, strukturę konsekwentną i logiczną. Kiedy kończy się ta interpretacja przejmującym finałem w scenie

śmierci wszystkie walory kompozycyjne stają się przejrzyste.

Zamierzenia aktorki są jasne. Zadno wątpliwości nie powinny nasuwać się wytrawniejszemu widzowi. Zamierzenia te zostały zrealizowane w sposób wskazujący na wielką subtelność i głębokie zrozumienie przeżyć postaci Fedry. Pozostaje jednak do rozstrzygnięcia jeszcze jeden zasadniczy problem: czy strategiczny plan Eichlerówny był celowy i słuszny? Tutaj wątpliwości są duże. Rodzą się one nie z automatycznego protestu przeciw próbom zmiany obowiązujących praw w teatrze. Wydaje się, iż zagadnienie da się zamknąć w prostej stosunkowo formule: Eichlerówna uważa swoją pracę za nowatorską — większość widzów za nowatorską, za jakieś silenie się na oryginalność.

Po poczynieniu wszystkich niezbędnych zastrzeżeń, które by usunęły przypuszczenie, iż chcę obniżyć wartość talentu Eichlerówny — opowiem się raczej za vox populi. Decyzję swoją oprę w pierwszym rzędzie na przekonaniu, że każde dzieło sztuki zmieścić się winno w granicach prawdy.

Wymagamy tej prawdy od malarza, od poety, musimy jej żądać również od aktora. Chcemy, by człowiek w wizji artystycznej był prawdziwym człowiekiem, to znaczy, by miał nogę na miejscu nogi (malarstwo), by mówił słowami ludzkimi (poezja), by mówił głosem ludzkim (aktorstwo).

Konsekwencją tego podejścia musi być pretensja do Wilama Horzycy. Podstawowym zadaniem i obowiązkiem reżysera jest troska o jednolitość spektaklu. Gdybyśmy zobaczyli „Fedrę” wykonaną w całości według stylu proponowanego przez Eichlerównę, powiedziałbym: eksperyment. Przycięnięty do muru, musiałbym się opowiedzieć: udany, albo nie udany. Kto wie, może użyłbym przy tej okazji używanych i nierzadko nadużywanych terminów: formalizm — realizm.

Tym razem mam niestety zadanie znacznie ułatwione: spektakl jest nieudany, bo tak bym powiedział o obrazie malowanym w połowie przez V. Hoffmanna, a w połowie przez Pronaszkę. Na to nie ma rady. Wyrok na spektakl krył się już właściwie w konieczności podzielenia go na dwie części, w wyodrębnieniu jednej postaci do oddzielnej analizy.

Reszcie wykonawców niewiele mam do zarzucenia. Kazimierz Wichniarski doskonale wydobywający wszystkie napięcia tragedii Tezeusza, winien poprawić nad uwolnieniem się od akcentu małopolskiego. Dobrze to było w „Revizorze” — tutaj niestety razi dość mocno. Janina Marisówna (Arycja) niepotrzebnie (może przez sugestię) usiłuje wpaść w ton Eichlerówny — tu trzeba przestrzec przed niebezpieczeństwem manieri. Jerzy Pietraszkiewicz (Hipolit) nadużywa mimiki, chwilami prze-

(Dokończenie na str. 12)

Teatr Horzycy

Bieżący sezon teatralny w Poznaniu przyniósł dalekie innowacje w konstrukcji wewnętrznej teatrów grodu Przemysławowego. Operę przejął Bierdajew (o tych sprawach w następnej korespondencji), Wilam Horzyca zaś stał się dyktatorem trzech scen pozostałych: „Teatru Polskiego”, „Teatru Nowego” i „Komedii Muzycznej”. Trzeba przyznać, że i teren pracy i odpowiedzialność olbrzymia. Horzyca przejął to wszystko z nieco zażenowanym uśmiechem, ale i z jednoczesną pełnią wiary we własne siły. Poznań kulturalny naogół podziela tą wiarę, choć też dają się czasem słyszeć i głosy powątpiewania. No cóż?... Sezon długi, program repertuarowy interesujący, możliwość wykazania umiejętności olbrzymia: podsumowanie wyników po roku może być bardzo ciekawe...

Horzyca, jako dyrektor „generalny” całości, kierownictwa artystyczne obu dawnych teatrów Szczerbowskiemu prze kazal Tadeuszowi Chmielewskiemu („Komedia muzyczna”) i Stefanowi Drewiczowi („Teatr Nowy”). Kierow-

nictwo literackie nad całością sprawuje Stanisław Hebanowski.

Sezon otworzył Teatr Polski „Fedrą” Jean Racine'a — pisze o tym obok kol. Artemski — zaraz za nim pośpieszył Teatr Nowy z „Cementem” Juliusza Wirskiego, na ostatku Komedia Muzyczna z „Ja tu rządzą” Wincentego Rapaackiego (syna).

„Cement” Wirskiego w Teatrze Nowym wypadł średnio. Znac na sztuce wysiłek reżysera, ale znać i poważne trudności, z jakimi się spotkał, nie tyle w interpretacji artystycznej tekstu utworu, ile w obsadzie poszczególnych ról. Oczywiście, pierwsza sztuka sezonu, przy nowej, nieznannej jeszcze całkowicie w zakresie swych możliwości, obsadzie aktorskiej, zezwała na pobłażliwe spojrzenie na błąd powyższy.

Dramat Wirskiego jest na tyle znany, że nie ma potrzeby zastanawiać się nad jego treścią wewnętrzną-ideową. Mocny w tematyce społecznej, nieporównanie słabszy jest w dziedzinie zagadnień osobistych swych bohaterów.

Uratować sytuację może tu wyczcucie tej dysproporcji wewnątrznej w dramacie przez zespół artystyczny i pokrycie niedociągnięć autora odpowiednią interpretacją ról przez reżysera i aktorów. Tego w poznańskiej wystawie „Cementu” nie ma. Zdzisław Karzewski jako Piotr Segoure, przy kilku bardzo dobrych zagranicach, nie zadał sobie trudu pełnego wycofania roli. Stąd ogólny błąd rysunek tej postaci, zapoznanie dużych możliwości dramatycznych, jakie wnieść może aktor nie tylko w postaci Piotra-przemysłowca, ale i w Piotra-człowieka. Mimo pewnej nienaturalnej pozy, obroną ręką wychodzi Teresa Waśkowska jako Sywia. Zarzuciłbym zbyt pabrzmiałą patosem nutę w scenie dialogu z Jaguissem oraz w scenie ostatecznego napięcia konfliktu między nią a mężem. Zupełnie chybiona jest obsada roli Zanety (Maria Wańkowska), nie przekonująca ani na jej. Zdzisław Salaburski jako Marion Schultze nieco szarżuje. Antoni Zukowski jako Cavel bez zarzutu. Stanisław Mroczkowski w roli rewolucjonisty Jaguisse'a może zbyt mało żywy, nadto posągowy. Człowiek idei nie koniecznie zaraz musi pozować do rzeźby na postumencie. Więcej bezpośredniości i uczucia zewoliliby na wydobycie z ciekawej i mocno zarysowanej przez autora postaci właściwego wizerunku działacza-człowieka. A tak konflikt wewnętrzny Jaguisse'a nie nabrał oczekiwanej siły wyrazu. Dobra jest para kapitalistów Virriele'a i Grentome'a (Zygmunt Zintel i Bolesław Roślan). W rolach epizodycznych bardzo dobry Józef Andrzejewski jako sędzia śledczy.

Te ostre słowa oceny gry poszczególnych aktorów bynajmniej nie mają zamiaru dyskwalifikowania całości wysiłku włożonego przez zespół Teatru Nowego. Sam wybór trudnej na ogół, obfitującej w potężne spięcia dramatyczne, a przy tym nie wolnej i od niedociągnięć artystycznych sztuki, świadczy dobrze o ambicjach teatru. W ogniu pierwszych krytyk, tak zewnętrznej jak i nade wszystko wewnętrznej, niewątpliwie uda się naprawić niedociągnięcia, jakie tkwi w nieznanomości możliwości interpretacyjnych aktorów w pewnych określonych typach ról.

Z zainteresowaniem oczekiwaliśmy następnej premiery Teatru No-

NA ZAMÓWIENIA
KIEROWANE
DO
ADMINISTRACJI
„DZIS I JUTRO”
SP. WYD. „PAX”
WYSYŁA POWIEŚĆ

BRUCE MARSHALL
CHWAŁA CÓRY
KRÓLEWSKIEJ

PROSIMY O WPLATĘ
ZŁOTYCH 750 za EGZ.
NA KONTOKO I-8515
LUB PRZEKAZEM
POCZTOWYM

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

PRZYGODY INTERPRETATORÓW

Od pewnego czasu na łamach „Kuznicy” i „Tygodnika Powszechnego” znajdujemy wypowiedzi polemiczne na temat recenzji Stanisława Bruca o wystawionej w Państwowym Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi sztuce Juliusza Słowackiego „Maria Stuart”.

W sprawie wniósł się Kandyd („Kuznica” nr 43). Stwierdziwszy, że są rzeczy, które się wzajemnie wykluczają, jak na przykład marksizm i brak podstawowych wiadomości historycznych, — wykazał brak podstawowych wiadomości z zakresu historii literatury i pomieszał czas trwania akcji „Maria Stuart” Słowackiego i Schillera, za co już dostał należytą odprawę od J. M. S. w „Tygodniku Powszechnym” (nr 44).

Na wstępie swojej wypowiedzi, Kandyd przybierając pozę bestronności — rzucił piękne zdanie, że „do błędu przyznaje się — jeśli trzeba, publicznie — na ogół tylko ten, kto czuje się mocny”. I w dalszym wywodzie Kandyd karci St. Bruca za stosowanie marksistowskich sformułowań do swojej wątpliwej koncepcji.

Jest rzeczą słuszną i piękną, gdy jakieś pismo samo wyśmiewa opublikowane przez siebie niedorzeczności. Tak np. „Orodzenie” znalazło się kiedyś w „Ciemna Obscura”. Zbadawszy jednak sprawę dokładnie przekonujemy się, że inicjatywa krytyki nie wyszła z redakcji „Kuznicy” bo jej przedmiotem są tylko te sformułowania, które wzbudziły zastrzeżenia JMS. A przecież w recenzji St. Bruca jest więcej rażących błędów.

Mitologia po francusku

(dokończenie ze str. 11-ej)

radzającej się w grymas. Bronisława Freitażanka (Enona) powinna dostosować się do ogólnie obowiązującej w tej realizacji statyczności osób — trzeba ograniczyć nieco ruchy.

Tyle grzeszków. A cnoty? — tu już uprościmy sobie zadanie: druga część spektaklu udana, zasłużenie oklaskiwana.

Dekoracje Jana Kosińskiego, bryła, której ogrom ma chyba wykazać nicosć spraw jednostek w czasie, pomysłowa i wymowna. Harmonia dekoracji i układu postaci zachowywana przez cały czas trwania spektaklu.

A o Racine’ie ani słowa?

„Nie ośmielam się twierdzić, że sztuka ta jest najlepszą z moich tragedii — pisał autor „Fedry” w r. 1677. — O czym mogę zapewnić to, że nie napisalem drugiej, w którejby cnota posta-

wiona była tak wysoko, jak w tej: najmniejsze wykroczenia są w niej karane surowo: już myśl o występku budzi tyle odrazy, co sam występki; słabości miłosne uchodzą za prawdziwe słabości; namiętności stawiono tu przed oczy jedynie dla okazania spustoszeń, jakie wywołują; a zbrodnia odmalowana wszędzie barwami, które każą poznać i znienawidzić jej potworność”.

Nic więcej nie można dorzucić. Chyba tylko to, że odpowiedź na inne słowa Racine’a „niechaj i Czytelnik i Czas rozstrzygną o jej (Fedry — p. a.) prawdziwej wartości” udzielona została już przez miliony Czytelników i Widzów, przez prawie 300 lat Czasu. Odpowiedź pozytywna. Odpowiedź uniwersalna i nieśmiertelna dzieło.

Jerzy Artemski

Zamiast kwiatów ubrana w żalobne cyprysy...
Kłękać mi każą? — poco — modlić się do Boga...

Chyba ten fragment dostatecznie jasno określa, że przedmiotem wizji Marii są wydarzenia, które się rozegrają po kilkunastu latach a mianowicie sąd nad królową Szkocji i jej stracenie (nota bene wizja Marii bardzo przypomina sceny schillerowskiej komedii), a obcą kobietą jest Elżbieta, królowa Anglii. A następujące potem słowa pania tłumacza nam, skąd obraz tych przyszłych wypadków mógł się zjawiać w wyobraźni królowej:

„Pani w twych marzeniach widzę główne rysy Przepowiedzeń dziwacznych twego astrologa.

Mądry szesnastowieczny astrolog, stworzony w artystycznej wyobraźni poety, mógł przewidzieć, co się stanie po kilkunastu latach, ale nawet najdokładniej poznawszy orbity gwiazd, nie wyczytałby z nich, że po kilku wiekach zarzuci ją królowej rozdzielenie jaźni.

Zastanawiające jest, dlaczego Kandyd nie powiedział nic o tym błędzie St. Bruca. Czyżby dlatego, że nie wytknął go JMS.

A może dlatego, że do „błędów” przyznaje się naogół tylko ten, kto czuje się mocny”.

Może Kandyd nie czuje się mocno w historii literatury, skoro pomylił „Marię Stuart” J. Słowackiego z tragedią Schillera.

ZAGADKI

Dziwny jest felieton p. Zuka pt. „Kulisy widowni” z ostatniego numeru „Dziś i Jutro”. Abstrahując od jego zgola niefelietonowej „ciężkości” — co tu długo owijać w bawełnę — nudy, nie wydaje mi się słuszne narzekanie p. Zuka na wandalizm widzów teatralnych. Stara bo to jak świat historia! Od czasu Franciszka Keawerego Dunoehowskiego z „Nowego Pamiętnika Warszawskiego” epoki Stanisławowskiej Tamy pism rozmaitych gną się aż od podobnych wypowiedzi. (Okazuje się więc, że prasa nie bardzo skutecznie wychowuje społeczeństwo). Konkretnie — do p. Zuka żywiej pretensje, że nie zauważył, iż coś niecoś na widowni teatralnej się zmieniło, że nie samo mieszczaństwo okupuje teraz teatr, że obserwujemy u warstw, które od niedawna zawarły z teatrem znajomość, zdrowszy stosunek do sztuki. A jeśli ci nowi tetromani niezupełnie poprawnie jeszcze się w teatrze zachowują, to zadaniem felietonisty jest ich pouczyć, bądź napiętnować dyrekcję teatru za niewywieszenie tabliczek z na pisami, zalecającymi porządek, które tyle innych instytucji bez zęnaty stosuje. Dziwne więc, że tak bystry felietonista, znany ze „Szpilek w fotelu”, grzmi katońsko na mieszczański snobizm i ignorancję, — na wroga, którego już nie ma.

Wacław Sadkowski.

KULA W PŁOT

Pan rkm z „Kuznicy” specjalizuje się w robieniu piany wokół spraw, o których nie ma pojęcia. Ostatni (214) numer „Kuznicy” przyniósł osobliwą notę tego pana pt. „Miłosierdzie”, w której autor podaje w wątpliwość niektóre myśli zawarte w orędziu wydanym przez X. Kardynała Adama Sapiechę z okazji „Tygodnia Miłosierdzia”. Współpracownik „Kuznicy” uważa ni mniej ni więcej, że bezprzedmiotowe jest nawoływanie do opieki nad macierzyństwem, do opieki nad nieślubnymi dziećmi, że nie warto jest mówić o opiece nad małymi kalekami, że nie ma potrzeby uczyć kobiet korzystania z ustawodawstwa socjalnego, propagować trzeźwość, ratować matkę przed zbrodnią dzieciobójstwa, ponieważ — cytując pana rkm — „wiadomo, że te wszystkie sprawy są uregulowane przez odnośne ustawy i ubezpieczenia społeczne” (podkr. moje).

Gdyby nie to, że „Kuznica” nie prowadzi oficjalnie działu humoru, notę pana rkm można by uznać za udaną próbę uzyskania efektu komicznego. Są ustawy, a komuś zachciewa się walczyć o prawa nieślubnego dziecka i za-

niechanie dzieciobójstwa. Nie będziemy prowadzić jałowej dyskusji z ezolwkiem, który nie wie, jaki — pomimo ustaw zapewniających formalną równość — jest jeszcze dzisiaj stosunek społeczeństwa do nieślubnej matki i dziecka, i sędzi, że ustawa rozwiązała problem trwania płodu. Pan rkm żywi bezgraniczną ufnosć w omnipotencję ustawy, a ja sądzę, że pięknie pomalowany dach nie przesądza jeszcze o rzetelności i solidności budowli, nad którą stoi. Smutna to prawda, ale pomimo rzeczywistości pięknego polskiego ustawodawstwa socjalnego długo jeszcze trzeba będzie walczyć o pełną realizację, powszechną znajomość, uznania i prawo obywatelstwa w społeczeństwie (nie w ustawodawstwie) dla tych wszystkich spraw, które w trosce o macierzyństwo poruszało orędzie tak łaskawie omówione przez „Kuznicę”. Nota, którą p. rkm usiłuje podważyć orędzie na „Tydzień Miłosierdzia”, jest nie tylko niedźwiedzią przysługą oddana sprawie opieki nad matką i dzieckiem jest także poderwaniem powagi autora i lamów, na których się ukazała.

„Kuznica” jest pismem empiryków i materialistów. Dziwi więc w niej wypowiedź, która prócz tego, że jest a tytezą empirycznego ujęcia zagadnienia, traci jeszcze w dodatku na miłe podejrzany idealizmem: wiarą w omnipotencję ustawy.

Gawel

WIELCE SZANOWNI I KOCHANI PANOWIE REDAKTORZY TYGODNIKA „DZIS I JUTRO”

Wysłałście Sz. Panowie zaproszenia do prenumerowania tygodnika „Dziś i Jutro”, z czego ja skorzystałem i takowo zaprenumerowałem, bo przecież trzeba popierać gazetę katolicką, ale... Ale prosilibyśmy bardzo, abyście Sz. Panowie zamieszczali w gazecie artykuły interesujące nas tu na prowincji, a nie rozwiłki traktaty literackie, których się wcale nie chce i nie ma czasu, ani ochoty czytać. Stawiam sprawę po kupiecku: „Za mój pieniążek chcę mieć to, co mi jest potrzebne, co mi odpowiada”.

Cóż mi z tego, że ja przeczytałem nagłówki i po dziesięciu minutach nie mam co czytać. A przecież mogłoby być dużo tematów zajmujących o treści ciekawej dla czytelnika-katolika, np. o geologii, astronomii, o soborze Trydenckim, opisy krain i ludów itp. Pro-

szę zwrócić uwagę, że nie wszyscy czytelnicy mają wykształcenie uniwersyteckie. Wielu ma szkołę powszechną, a wielu jest też samouków, bo dawniej nie było tak łatwo o naukę jak obecnie, zwłaszcza u ludzi o skromnym stanowisku społecznym. Ciekaw jestem i chciałbym wiedzieć, ilu macie Panowie prenumeratorów z wyższym wykształceniem. Napewno jest mniejszość takich. Ja z przyjemnością wspominam sobie taki „Tygodnik Ilustrowany” wyd. przez Gebethnera i Wolffa lub dawny „Kurier Warszawski”.

Były w nich ciekawe artykuły, odcińki powieściowe i dział humorystyczny. Mam kilka takich numerów sprzed kilkunastu lat. Były w nich zajmujące poezje, a dziś — miernota. Wiele bym jeszcze napisał na ten temat, ale... Mam zamiar wkrótce być w Warszawie, to będę się starał odwiedzić Redakcję i osobiście porozmawiać na ten temat, o ile Sz. Panowie pozwolą.

Ja jestem Warszawianinem, od 20 lat osiadłym w Suchej na Podhalu dla zdrowia, a moje dzieci mieszkają w Warszawie i mają zakłady ogrodnicze. Proszę Kochanych Panów nie gniewać się na mnie starego (78 lat) i dać nam dobrą i zajmującą literaturę, coś z opisów osobliwości kraju itp. Zaliczam serdecznie pozdrowienia i życzę wszelkiej pomyślności dla Szanownych i Kochanych Panów Redaktorów.

Stanisław Ruchowski

OD REDAKCJI

W poprzednim numerze naszego pisma ukazał się fragment poematu Wł. Majakowskiego p. t. „Dobrze”, w którym omyłkowo pominięto nazwisko tłumacza tego poematu Artura Sandauera.

Niniejszym gorąco przepraszamy P. Artura Sandauera za wyrządzoną Mu mimo woli krzywdę.

Redakcja „DZIŚ I JUTRO”

UWAGA

REDAKCJA „DZIS I JUTRO” PRAGNIE NABYC NASTĘPUJĄCE STARE. JUZ WYCZERPANE NUMERY TYGODNIKA:

NR. NR. 3 4, 5, 6 za rok 1945

NR. NR. 2 (8), 23 (29), 34 (40; za rok 1946

ZWRACAMY SIĘ Z PROŚBĄ DO NASZYCH CZYTELNIKÓW POSIADAJĄCYCH TE NUMERY, A NIE ZBIERAJĄCYCH KOMPLETÓW, O ODSTĄPIENIE ICH REDAKCJI, EWENTUALNE ZGŁOSZENIA PROSZE SKŁADAĆ NA RĘCE SEKRETARZA REDAKCJI, WARSZAWA, MOKOTOWSKA 43, I p. TEL. 8-80-26.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 80 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-92703

